

„Gdzie jest dziewięciu?” ●
Zło ma swoje granice ●
Poezja religijna ● Dary Kościoła Polskokatolickiego ●
Polskie życie kulturalne w latach II wojny światowej ●
Idziemy do szkoły

Bp prof. dr Maksymilian RODE

Kierownik Katedry Współczesnych Kierunków Społecznych i Filozoficznych
Chrześcijańska Akademia Teologiczna w Warszawie

szych szczeblach rozwoju i osiągnięć ludzkiej cywilizacji i kultury, prawdziwie rozumianej religii, a chyba na takim poziomie rozwoju już jesteśmy, przynajmniej teoretycznie — współpracy, współzawodnictwa dobra z lepszym, lepszego z jeszcze lepszym, itd. Stojący w przeszłości i współcześnie po stronie napastników z bronią w ręku, czyli po stronie wojny napastniczej — to ci, którzy stoją po stronie diabła i jego diabelskich współpracowników, a całą ich działalność, m.in. rozpętującą wojny lokalne i chcący rozpętać

DIABOLOGIA WOJNY

Jako katolik wierzę w istnienie diabła i jego działalność w świecie. Działalność indywidualną i kolektywną i to tak w stosunku do pojedynczego człowieka, wierzącego czy niewierzącego, jak i w stosunku do społeczności i narodów, czyli owszem i w stosunku do ludzkości. W minionych dziejach i współcześnie, zwłaszcza współcześnie! Można to zjawisko i ten fakt nazwać też długotrwałym już zmaganiem się, czy walką dobra ze złem, lub zła z dobrem, co przede wszystkim św. Augustyn wyraził w swoim dziele pt. *De Civitate Dei*, czyli *O Państwie Bożym*, w którym to dziele przeprowadza właśnie dowód na faktyczne zmaganie się państwa Bożego z ziemskim, dobra ze złem. Ale czy to zmaganie, tę walkę, należy rozumieć jako nieuchronne diabelskie działanie z coraz nowocześniejszą, a więc bardziej masowo śmiertelnością, bronią, działaniem koniecznym, fatalistycznym, nie mogące mieć końca przy końcu świata ale już aktualnie skutecznego antydotum, niekoniecznie w postaci nowej, czy lepszej broni, też przecież niszczącej i to jeszcze liczniej ludzi, ale w postaci innej, w postaci twórczej przeciwstawności, przeciwstawności dziejącej się na coraz wyższych piętrach rozwoju osiągnięć i działań ludzkich? Otóż tak! Sens wywodów św. Augustyna nie musi zakładać dziania się ciągłych aż do końca tego świata działań militarnych, walk uzbrojonych ludzi i wzajemnie się zabijających, rzucania bomb nuklearnych, czy różnego rodzaju rakiet blisko, średnio czy daleko z rozkazu i zadziałania człowieka, niosących śmiertelność i to masowo zabijające ludzi głowice nuklearne. Może on oznaczać i naszym zdaniem zgodnie też z filozofią i dialektyką rozwoju myśli społecznej ludzkiej i ludzkiego społecznego działania, oraz zgodnie z teologią i teleologią rozwoju ludzkości w ogóle i realizacji polityki i ekonomii Bożej — oznacza konieczność istnienia, działania i rozwoju działań ludzkich, owszem tak, i konieczność, działań również przeciwstawnych jako działań twórczych, ale nie w formie fizycznej przemocy, nie w formie, jak dawniej: pałek, dzid, włócznie, katapult, mieczy i toporów, potem karabinów, armat, bomb, czy wreszcie bomb i głowic atomowych, co jest ze strony napastników wyrazem dzikości, nienawiści, co jest — dla mnie wierzącego katolika — współdziałaniem z diabłem, więcej — realizacją jego podszeptów, natchnień, polityki zawładnięcia ludzkością, — ale w formie — już na wyż-

szą nową wojnę ogólnoswiatową, nuklearną, można nazwać diabologią wojny, a ich — sprzymierzeńcami czy narzędziami diabła! I są niestety po tej stronie za-



Św. Augustyn (ur. 13.XI.354 r., zm. 28.VIII.430 r.) jest autorem m.in. historyczno-filozoficznego dzieła pt. „De Civitate Dei”, czyli „O Państwie Bożym”

XIII NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Galatów — (3,16-22)

Bracia: Obietnice były dane Abrahamowi i potomstwu jego. Nie powiedziano: i potomkom, jakoby mowa była o wielu, ale jak gdyby o jednym: I potomkowi twemu, którym jest Chrystus.

Powiadam tedy: Testamentu potwierdzonego przez Boga nie może obalić Zakon dany w czterysta trzydzieści lat później, żeby obietnica stała się próżna. Albowiem jeżeli dziedzictwo dane było na mocy Zakonu, to już nie z obietnicy. A jednak Abrahamowi przez obietnicę Bóg udzielił daru łaski. Po cóż więc Zakon? Nadany był ze względu na przestępstwa, żeby przyszło potomstwo, któremu dana była obietnica: głosili go aniołowie za sprawą pośrednika. Lecz nie masz miejsca na pośrednika tam, gdzie jest tylko jedna strona, a Bóg jest jeden.

Czyżby tedy Zakon przeciwny był obietnicom Bożym? Bynajmniej. Gdyby bowiem dany był Zakon, który by mógł ożywić, usprawiedliwienie byłoby rzeczywiście z Zakonu. Lecz Pismo zamknęło pod grzechem, aby przez wiarę w Jezusa Chrystusa ziszczała się obietnica wierzącym.

Psalm responsoryjny — (31, 2-6)

Refren: Uwielbiać pragnę Boga w każdym czasie

1. Chcę błogosławić Pana w każdym czasie;
na ustach moich zawsze Jego chwala.
2. Dusza moja będzie się chlubiła w Panu;
niech słyszą pokorni i niech się weselą.

Refren: Uwielbiać pragnę Boga w każdym czasie

3. Szukałem Pana, a On mnie wysłuchał;
i uwolnił od wszelkiej trwogi.
4. Spójrzcie na Niego, promienieście radością;
a oblicza wasze nie zazną wstydu.

Refren: Uwielbiać pragnę Pana w każdym czasie

5. Uwielbiajcie ze mną Pana;
imię Jego wspólnie wywyższajmy.
6. Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Pan Bóg;
błogosławiony człowiek, który się do Niego ucieka.

Refren: Uwielbiać pragnę Boga w każdym czasie

Evangelia według św. Łukasza — (17, 11-19)

Onego czasu: Gdy Jezus zdażał do Jeruzalem, przechodził środkiem Samarii i Galilei. A gdy wchodził do pewnej osady, zabiegło mu drogę dziesięciu mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka i zawołali, mówiąc: Jezusie, nauczycielu, zmiłuj się nad nami. A ujrawszy ich, rzekł: Idźcie, ukażcie się kapłanom. I stało się, gdy szli, że byli oczyszczeni.

A jeden z nich, skoro zobaczył, że był uzdrowiony, wrócił się, głosem wielkim wielbiąc Boga i padł na oblicze do stóp Jego, dziękując: a był to Samarytanin.

A Jezus odpowiadając rzekł: Czyż nie dziesięciu było oczyszczonych? Gdzie jest dziesięciu? Nie znalazł się nikt kto by wrócił i dał chwałę Bogu, jeno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, bo wiara twoja uzdrowiła cię.

„Gdzie jest dziesięciu”?

Teksty mszalne dzisiejszej niedzieli nazwać by można częścią trylogii, której treścią jest sakramentalne życie Kościoła Chrystusowego. Zwraca ona bowiem uwagę na chrzest, pokutę i Eucharystię. Natomiast tym, co dzisiejsze teksty liturgiczne spaja wewnątrz — a zewnętrznie wiąże z poprzednimi niedzielami (11 i 12 po Zesłaniu Ducha Świętego) — jest ukazanie przeciwieństwa pomiędzy Starym a Nowym Testamentem, między Żydami a poganami. Stanowi to także więź pomiędzy czytaniem (lekcją i ewangelią) obydwóch niedziel. Równocześnie ewangelie poprzedniej i bieżącej niedzieli wynoszą Samarytaninów.

Ewangelia dzisiejsza (Łk 17,11—19) opowiada o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych, z których tylko jeden pamiętał o obowiązku wdzięczności. W rozważaniu niniejszym zastanowimy się, co było powodem ich postępowania.

* * *

Było to podczas podróży na ostatnie święta Paschy. Wówczas, „w drodze do Jerozolimy przechodził (Jezus) między Samarią i Galileą” (Łk 17,11), w pobliżu jeziora Genezaret. A kiedy zmęczony trudami podróży „wszedł do pewnej wioski, wyszło naprzeciw niego dziesięciu trędowatych mężów, którzy stanęli z daleka” (Łk 17,12), jak nakazywały przepisy prawa Mojżeszowego. Ludzie ci byli kiedyś zdrowi. Ale pewnego dnia zauważyli na skórze białe plamy, jakby po ukąszeniu komara lub poparzeniu się pokrzywą. Z czasem jednak plam takich pojawiło się coraz więcej, zaczęły nabrzmiewać a chory gorączkować. Na skórze poczęły się tworzyć ropiejące rany. W dalszej zaś fazie choroby ciało zaczęło odpadać od kości, poodpadały palce, nos a ciało stało się jedną wielką raną, sprawiającą niezno-

śny ból. Najgorsze zaś było to, że ówczesna medycyna nie znała żadnych środków, które mogłyby przynieść ulgę tym nieszczęśliwym. Inną dotkliwą przykrością trędowatych, było ich odosobnienie od najbliższych. Bowiem z obawy przed zarażeniem zdrowych, mieszkali oni zazwyczaj poza obrębem miast i osiedli.

Ludziom tym musiała być znana działalność Cudotwórcy z Nazaretu. Ujrawszy Go bowiem, „podnieśli głos swój, mówiąc: Jezusie, Mistrzu Zmiłuj się nad nami!” (Łk 17,13). Jednak w tej chwili wystawił ich Syn Boży na próbę. „Nie uzdrowił ich bowiem od razu, ale „rzekł do nich: Idźcie, ukażcie się kapłanom” (Łk 17,14a). Dopiero — jak relacjonuje Ewangelista — „gdy szli zostali oczyszczeni” (Łk 17,14b). Jakże różna była reakcja owych ludzi. Kiedy bowiem większość z nich odeszła w swoją stronę, „jeden z nich, widząc, że został uzdrowiony, wrócił, donośnym głosem chwalał Boga. I padł na twarz do nog jego, dziękując mu, a był to Samarytanin” (Łk 17,15—16). Nie uszło to uwagi Jezusa, który „odezwał się i rzekł: Czyż nie dziesięciu zostało oczyszczonych? A gdzie jest dziesięciu? Czyż nikt się nie znalazł, który by wrócił i oddał chwałę Bogu, tylko ten cudzoziemiec?” (Łk 17,17—18). Zwracając się zaś do niego, „rzekł mu: Wstań, idź! Wiara twoja uzdrowiła cię” (Łk 17,19).

* * *

Warto tutaj zadać sobie pytanie, dlaczego dziesięciu oczyszczonych nie przyszło podziękować Chrystusowi za tę wielką łaskę? Co było powodem zaniedbania z ich strony? Czy nie osądzamy ich zbyt surowo, przypisując im, po prostu niewdzięczność?

Nie będziemy chyba dalecy od prawdy, jeśli przypiszemy to ich bezmyślności. Bezmyślność jest również nagminną wadą naszej epoki. Jej cechą jest przecież powierzchowność, a bezmyślność chodzi w parze (i to nieodłącznie) z powierzchownością. Bezmyślność nasza nie polega oczywiście na tym, byśmy o niczym nie myśleli. My przecież zawsze o czymś myślimy; nawet we śnie myśl nasza pracuje. Ale nasze myśli nie są konsekwentne, gdyż nie wyciągamy z nich należytych wniosków. Wystarczy na to kilka przykładów.

Wierzmy, że Bóg jest wszędzie obecny. Myślimy nawet o tym, że „w nim żyjemy i poruszamy się, i jesteśmy” (Dz 17,28), a jednak Jego obecności grzeszymy. Dzieje się tak dlatego, że przeslizgujemy się bezmyślnie nad tą prawdą wiary, że — nie pogłębiając jej naleyście — nie wysuwamy z niej właściwych wniosków.

Wiemy również, że szczęście doczesne — bez względu na to, w jakiej występuje ono formie — jest przemijające i nie potrafi zaspokoić pragnień naszego serca. Daje temu wyraz św. Augustyn, gdy pisze: „Dla siebie stworzyłeś nas Panie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”. Prawdziwe szczęście osiągnąć możemy tylko w wieczności, gdyż — według nauk Apostoła Narodów — „czego oko nie widziało i ucho nie słyszało i co do serca ludzkiego nie wstąpiło, to przygotował Bog tym, którzy go miłują” (1 Kor 2,9). Jednak niepomni na to, odrzucając przykazania Boże, wyciągamy ręce po owoc zakazany. Zapominamy bowiem, że ten owoc zgorzknienie nam w ustach.

Moglibyśmy każdy, najbardziej szary, dzień opróżnić myślą o Bogu, Stwórcy i Ojcu naszym. Mamy możliwość każdą troskę i cierpienie, przez dobrą intencję, przemienić w skarby zasług na żywot wieczny. Tymczasem — przegnębieni i załamani duchowo — wlecemy naszą taczkę życia bezmyślnie, nie podnosząc oczu naszych ku Bogu, który jest naszym celem i szczęściem zarazem. Stąd też wielu współczesnych chrześcijan — chełpiących się publicznie swoją religijnością i obwieszonych emblematami religijnymi — w rzeczywistości nie zasługuje na miano uczniów Chrystusa.

Dwa są źródła ludzkiej bezmyślności: lenistwo i niewłaściwie pojęta miłość własna.

Rzeczywiście. Jakże często jesteśmy zbyt leniwi, by zastanawiać się nad tym co istotne, co do Boga jako ostatecznego celu prowadzić. Wolimy raczej pływać po powierzchni wszystkich zjawisk i zagadnień życiowych, niż zagłębiać się w ich treść. I powiedzmy sobie szczerze, w tym duchu wychowywane jest często młode pokolenie, by „nie przemęczać” go głębszym wejściem w siebie i swe zadania życiowe. Z drugiej strony dla źle pojętej miłości własnej, bezmyślność jest upragnioną poduszką, na której wygodnie ona spoczywa. Gdybyśmy bowiem zaczęli myśleć na serio, musielibyśmy niejednego sobie odmówić, niejedną ponieść ofiarę. Zwrócił na to uwagę sam Zbawiciel, mówiąc: „Nie każdy, kto do mnie mówi: Panie, Panie, wejdzie do Królestwa Niebios; lecz tylko ten, kto pełni wolę Ojca mego, który jest w niebie” (Mt 7,21). Toteż dla wielu lepiej jest przejść nad wszystkim „do porządku dziennego”.

Stąd też bezmyślny może być słusznie przyrównywany do człowieka, „który zbudował swój dom na piasku” (Mt 7,26b). A chociaż dom ten wyraźnie się rysuje i grozi zawaleniem, nie myśli on o jego kapitalnym remoncie. Przyrównać go można do rybaka, który wyjechał w morze na połów, nie dokonawszy wcześniej przeglądu swej łodzi. Bowiem niezabezpieczona szczelina przesącza coraz więcej wody, zaś lekkomyślny — zapatrzony w morze — rybak nie widzi, że łódź coraz bardziej zamurza się w wodzie i grozi zatonięciem. Jakże więc straszne będzie przebudzenie bezmyślnych w chwili rozstania się z tym światem. Jakże będą żałować, że bez zastanowienia przeszli przez życie, nie pamiętając o duszy nieśmiertelnej i jej zbawieniu.

Warto więc znaleźć chwilę czasu na zastanowienie się nad własnym postępowaniem podczas codziennej modlitwy wieczornej. Okazją do tego niech będzie również nasze uczestnictwo we Mszy świętej w niedziele i święta, a zwłaszcza chwila, kiedy słuchamy słowa Bożego. Taką chwilą refleksji nad naszym postępowaniem winien być również rachunek sumienia przed każdą spowiedzią. Chciejmy o tym zawsze pamiętać.

Ks. JAN KUCZEK

równowierzący, jak i niewierzący, jeśli przygotowują oni, czy prowadzą taką zbrodniczą, napastniczą, diabelską działalność, oczywiście są tam w pierwszym rzędzie ci politycy, którzy mają władzę tego świata i o rozpoczęciu napastniczej, zaborczej, wojny i jej prowadzeniu decydują.

Przeszłe dzieje ludzkie znaczą się ogromem ilości i to bestialskich przeważnie wojen, i tych dawnych, i tych ostatnich. Że wspomnimy tu miliony ofiar ludzi i wyrazimy im cześć, pomodlimy się w ich intencji, miliony ofiar ludzi, którzy padli w wojnie w latach 1939—45, której 43 rocznicę wybuchu z bólem i zadumą niniejszym i tu wspominamy, z rąk okrutnych wojsk hitlerowskich: w Polsce, w ZSRR, w Afryce, na Monte Cassino i na wielu innych frontach, oraz z plugawych rąk siepaczy gestapowskich, czy też zginęli wskutek zrzucenia przez amerykańskich pilotów bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, itd. Wprawdzie tu i ówdzie czyta się o tym, że każda wojna przyczyniła się do wielkiego, wprost nieraz skokowego, rozwoju cywilizacji, techniki, różnych nauk szczegółowych, itd., ale w naszym przekonaniu był to i jest to tylko pozorny rozwój, rozwój smętny, bo przecież był i jest zawsze, i o ile w ogóle nim jest, skrwawiony hekatombą śmierci, cierpienia i niedoli ludzi, obarczony utratą mienia materialnego, zniszczeniem bezpowrotnym dóbr i wartości nauki, kultury, sztuki, architektury, itd. Gdyby bowiem, proszę się chwilę zastanowić, gdyby bowiem te sumy pieniędzy i wysiłków ludzi, które pochłonęły wojny w przeszłości, które kradnie w większej czy mniejszej, ale zawsze w dużej ilości, każda wojna, zsumować, byłyby to ogromne sumy: pieniężne i energii twórczej ogromu ludzi, które to sumy oddane na rozwój: stanu posiadania ogółu ludzkości, jej zdrowia, stylu życia, higienicznych warunków życia i pracy, i w ogóle możliwości pracy, godziwych siatek płacy, odpoczynku, warunków mieszkaniowych, form współrozumienia się i współpracy ludzi różnych ras, ideologii, wyznań religijnych, itd., itp., dałyby one w konsekwencji więcej cywilizacji i kulturze ludzkości, dopisując do nich nowe osiągnięcia, ulepszenia, ułatwienia życia ludziom, ogółowi ludzi, niż tzw. zyski wojny, które to zyski są w naszej opinii zyskami pozornymi, nie — one są stratami!

A współcześnie? A dzisiaj?

Niestety nie jesteśmy wolni ani od lokalnych wojen, ani od psychozy przygotowywania nowej ogólnoswiatowej wojny. Możemy więc z teologicznego punktu widzenia powiedzieć, że działają sprzymierzeńcy diabła. Bo czyż różnic światopoglądowych czy religijnych dzisiaj w świecie istniejących i ze sobą rywalizujących dojrzały, rozumni, ludzie nie mogą rozwiązać drogą rozmów, porozumień, rozstrzygnięć parlamentarnych? A np. w Irlandii od dawna już głównie o sprawy religijno-społeczne toczą się między protestantami a katolikami bratobójczo-skrytobójcze walki, zamachy bombowe, samosady, mordy, w których to konfliktach-zbrodniach giną ludzie, często nie mający nawet nic wspólnego z tymi tzw. rozgrywkami również o charakterze politycznym, a są także uśmiercane dzieci, które przypadkowo znajdują się w miejscach nagłej strzelaniny ulicznej, czy wybuchu podłożonej bomby. Czy tylko wojną w ogóle, również krajową bratobójczą wojną domową, jaka też od dłuższego czasu toczy się w Iranie, a także między Iranem a Irakiem, można i należy rozwiązywać sprawy ustrojowe tych krajów i narodów, wyznających przecież ten sam światopogląd islamski? Czyż ci ludzie jednej wiary nie mogą się środkami pokojowymi porozumieć i pogodzić? Iluż tam zginęło już ludzi?

A Izrael? A Południowa Afryka i inne jeszcze kraje?

Wojna w Libanie, zwłaszcza wokół Bejrutu i w samym Bejrucie, to wyzwanie wobec całej ludzkości! Ludzkości, która o sobie mówi jako o nosicielu i realizatorze wysokiej etyki, kultury, cywilizacji, pacyfistycznie ubogaconego humanizmu, a której bezwzględna większość przynależy, przynajmniej formalnie, metrykalnie, do chrześcijaństwa, czy katolicyzmu, a w każdym razie do teizmu! Do teizmu, a więc do wyznawców wiary w istnienie Boga. Bóg zaś

przecież w pojęciu teistycznym, zwłaszcza chrześcijańsko-katolickim, nie jest Bogiem zagłady ludzi, których stworzył, ani nie chce zniweczenia bytu, czy szeroko rozumianego świata, którego jest Stwórcą, Rządcą, Zachowawcą i nad którym przy pomocy właśnie ludzi jako przez siebie stworzone istoty rozumne chce rozciągać i rozciąga swoją Opatrzność. Pismo św. Nowego Testamentu nazywa Boga miłością i pokojem, a nie Panem wojny, buntów, zniszczeń, mordów. Św. Jan Apostoł bardzo wyraźnie pisze w swoim I Liście: „Bóg jest miłością”; (I.J. IV, 7). A wielki Apostoł św. Paweł w Liście do Rzymian rozdział XV kończy życzeniem: „A Bóg pokoju niech będzie z wami wszystkimi” (Rz. XV, 33), nazywa więc św. Paweł Boga Bogiem pokoju!

Wszystko więc to, co nie rodzi się z miłości, miłości Boga nade wszystko, a bliźniego swego, którym jest każdy człowiek, jak samego siebie, co się z nią pośrednio lub bezpośrednio nie łączy, jest złem, jest po stronie diabła, bo on jest prowodyrem zła. I wszystko to, co nie rodzi się z umiłowania i chęci realizacji pokoju, jego utrwalania i upowszechniania, z ogólnej międzyludzkiej i międzynarodowej współpracy, porozumienia narodowego i międzynarodowego, bezpośrednio czy pośrednio, jest po stronie zła, jest po stronie diabła, ucieleśnionego właśnie zła. Dzisiaj bowiem, jeśli chcemy o sobie powiedzieć jako o wierzących w Boga, czy niewierzących ale humanistach, o tych, którzy chcą nie tylko utrzymać dotychczasowe osiągnięcia nauki, kultury, techniki, osiągnięcia mas ludzi uczonych i techników, robotników i rzemieślników, duchownych i lekarzy, itd., ale je powiększać i upowszechniać, musimy podjąć w moim przekonaniu jedną jedyną decyzję, której tu nazywać teraz nie muszę. W każdym razie na koniec trzeba jeszcze raz bardzo wyraźnie stwierdzić: napastnicze mordy, a przede wszystkim wojny lokalne, czy zwłaszcza ewentualna napastnicza wojna światowa — są złem, są dziełem szatana, diabła, który działa przez wywołujących je, i to niezależnie od tego, czy i jak się jego samego, tj. diabła, jego istnienie i działanie pojmujemy. Działający zaś na rzecz pokoju, na rzecz współpracy, na rzecz porozumienia, są po stronie Boga i to też niezależnie od tego, czy i jak Boga, Jego istnienie i działanie we wszechświecie się pojmujemy, a o nich, o tych ostatnich sam Jezus Chrystus w swoim sławnym Kazaniu na Górze powiedział: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt. V, 9).

Bp MAKSYMILIAN RODE



Pomnik ku czci poległych Polaków na Westerplatte i wszystkich frontach II wojny światowej

ZŁO ma swoje granice

„Tam zadrżeli ze strachu,
gdyż Bóg jest z pokoleniem sprawiedliwym.
Chcecie udaremnić zamiar biedaka:
lecz Jahwe jest jego ucieczką” (Ps 14,5-6)

Psalm 14 (LXX i Wlg 13) powtórzony został w Psalterzu z niewielkimi zmianami jeszcze raz jako Psalm 53 (LXX i Wlg 52). W psalmie tym poważne trudności tekstowe, gdy idzie o tekst w języku hebrajskim, zaczynają się już w wierszu 4 i obejmują wiersz 5 i 6. Podobnie rzecz wygląda w Ps 53, jednakże uczeni jako tekst bardziej pewny przyjmują tekst Psalmu 14. Akcenty w poszczególnych stychach układają się symetrycznie i asymetrycznie, a znaczne rozbieżności tekstowe sprawiają, że rytmika tego psalmu jest skomplikowana. Różne też były wśród uczonych zapatrywania na rodzaj literacki psalmu, co również jest sprawą skomplikowaną, przekraczającą ramy niniejszego artykułu. Obecnie wydaje się przeważać pogląd, że mamy tu do czynienia z lamentacją uogólniającą, na którą składają się motywy prorockie i mądrościowe (szczegóły — H. J. Kraus). Tytuł psalmu (w. 1) mówi o autorstwie Dawidowym, ale należy to odnieść do Dawidowego zbioru psalmów. Psalm nasz powstał w okresie znacznie późniejszym, bo po niewoli babilońskiej. Wskazuje na to tematyka psalmu, która podobna jest do tematyki późniejszych ksiąg Starego Testamentu, jak Jr 5,1 nn; 8,6; Iz 59,4nn; 64,6n (H. J. Kraus).

Treść naszego psalmu koncentruje się wokół powszechnego zepsucia religijno-etycznego, jakie Psalmista obserwuje wokół siebie. Dlatego psalm ten zaczyna się dla nas w sposób zaskakujący: „Mówi głupi w swoim sercu: Nie ma Boga” (w. 1bc). Spotykamy tu jeszcze jedno utarte pojęcie ST — „głupi”. Jest to pojęcie właściwe tradycji mądrościowej i odpowiada ono określeniu „występny”, „grzesznik”. Człowiek taki jest „głupi”, bo postępuje nierozważnie, lekkomyślnie nie liczy się z przykazaniami Bożymi. Stanowi on typ ludzi, którzy podobnie myślą — „mówi głupi w swoim sercu”, i postępują. Zdaniem: „nie ma Boga” wyraża jedynie praktyczny ateizm, ST bowiem nie zna ateizmu teoretycznego (L. Köhler). Psalmista niezwłocznie uzupełnia swoją myśl, nadając jej znaczenie ogólne: „Oni są zepsuci, ohydne rzeczy popełniają, nikt nie czyni dobrze” (w. 1de). Ten typ ludzi jest wewnętrznie rozłożony, postępuje źle i czyni rzeczy ohydne. Psalmista nie wyjaśnia, o jakie tu grzechy chodzi. Tego rodzaju ludzie opanowali życie społeczne, a przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że nie liczą się oni z Bogiem. Taka charakterystyka społeczna Izraela niekoniecznie musi się wiązać z jednym okresem historycznym, lecz odnosi się do wielu epok. „Przebiegnijcie ulice Jerozolimy, zobaczcie, zbadajcie i przeszukajcie jej place, czy znajdziecie kogoś, czy będzie tam ktokolwiek, kto by postępował sprawiedliwie, szukał prawdy, a przebaczę jej” (Jr 5,1; por. Rdz 18,23nn). Patrzenie z perspektywy dziejów znamienne jest dla tradycji mądrościowej.

A jednak wśród morza zła zarysowują się kontury brzegu: „Czyż lud mój pożerają, jak gdyby chleb jedli, którzy nie wzywają Jahwe?” (w. 4). Psalmista pyta, czy nie ma nadziei na opamiętanie się „czyniących nieprawość”? W pytaniu tym kryje się znaczna doza ufności. Piewca staje w obronie swego ludu, który wystawiony jest na pastwę ludzi nieprawych, złych. Oni ten lud „pożerają”, niszczą i wykorzystują bez żadnego współczucia tak, jak spożywa się codzienny chleb. Postępują oni tak, bo nie wzywają Jahwe. „Bo ci, którzy jedzą ciało mego ludu i skórę z niego zdzierają, a kości mu łamią i tną na kawałki, jak w garnku, jak mięso w środku kotła, wołać będą wówczas do Jahwe, ale im nie odpowie, lecz zakryje wówczas oblicze przed nimi za występki, które popełnili!” (Mich 3,3-4). Zło przecież nie może się szerzyć w nieskończoność, bo ma swoje granice.

Promień nadziei, ledwie widoczny w wierszu 4, staje się już wyraźnie dostrzegalny, a nawet groźny dla nieprawych. „Tam zadrżeli ze strachu, gdyż Bóg jest z pokoleniem sprawiedliwym”



„Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40)

(w. 5). Tekst hebrajski tego i następnego wiersza odbiega znacznie od równoległego tekstu Psalmu 53,6. Egzegeci z dużym prawdopodobieństwem przyjmują tekst Ps 14,5n jako najbardziej zbliżony do tekstu pierwotnego. W związku z tym i przekład ma podobne znaczenie. Psalmista wyraża zatem następującą myśl: tam, gdzie działają „nieprawi”, dokładnie tam zadrżeli oni ze strachu przed karzącym sądem Bożym, bo Bóg ujmuje się za „sprawiedliwymi” cierpiącymi nieprawość (H. J. Kraus). „Tak bowiem mówi Wysoki i Wzniosły, którego stolica jest wieczna, a imię święte: Zamieszkuje miejsce wzniesione i święte, lecz jestem z człowiekiem skruszonym i pokornym, aby ożywić ducha pokornych i tchnąć życie w serca skruszone” (Iz 57,15). Są więc granice, których nie może przekroczyć nieprawie działanie ludzi złych. „Chcecie udaremnić zamiar biedaka: lecz Jahwe jest jego ucieczką” (w. 6). Tekst tego wiersza jest również skażony, a sens jego prawdopodobnie jest następujący: planując uderzenie w „biednych”, sami będziecie zniszczeni. Zgodnie ze starym przekonaniem biblijnym, kara spotyka mordercę tam, gdzie biedny został niewinnie zamordowany (H. J. Kraus). „Biednym” bowiem dany był przywilej, że sam Jahwe jest ich ucieczką, schronieniem i obroną.

Psalm kończy się życzeniem zbawienia: „Kto przyniesie z Syjonu zbawienie Izraelowi? Gdy Jahwe odmieni los swego narodu, Jakub się rozraduje, Izrael się ucieszy” (w. 7). Jahwe mieszka na Syjonie — górze świętej i zbawia z tego miejsca. Zbawienie to przyniosą całemu Izraelowi „biedni” i „sprawiedliwi”. Psalmista nawiązuje w tym miejscu do czasu niewoli babilońskiej. Gdy Jahwe użył zbawienia Izraelowi, gdy odmienił los swego narodu, kiedy wszystko uczyni nowym, wtedy rozraduje się i ucieszy wielce cała społeczność izraelska, która dotąd cierpiała ucisk wołający o pomoc do nieba.

W zastosowaniu praktycznym naszego psalmu nie można pominąć milczeniem faktu, że psalm ten cytowany jest w Nowym Testamencie. Św. Paweł pisze tak: „Wykazaliśmy bowiem uprzednio, że tak Żydzi, jak i poganie są pod panowaniem grzechu” (Rz 3,9; w następnych wierszach Apostoł cytuje Ps 14,1-3). Przez cały Stary Testament przewija się ustawicznie myśl, że wszyscy ludzie są grzeszni. Myśl tę podejmuje również Nowy Testament, czemu daje wyraz m.in. św. Paweł: „wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej” (Rz 3,23). Niestety, nie jesteśmy aniołami, dlatego i wśród ludu Bożego szerzy się zło. Żadna epoka nie jest wolna od szerzącego się zła, bywają okresy, że złe postępowanie szczególnie się nasila. Ale zło ma swoje granice również w czasach Nowego Testamentu. „Bog wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć” (1 Kor 1,27). Zrozumiałe działanie ludzi nieprawych rozbija się o „biednych” i „sprawiedliwych”, którzy w Starym Testamencie byli typem — wyobrażeniem Jezusa Chrystusa. On stał się ofiarą — zniszczony został na krzyżu przez nieprawych, ale On też stał się ich Sędzią. „Oto nadchodzi z obłokami, i ujrzy Go wszelkie oko i wszyscy, którzy Go przebudli” (Ap 1,7). On też objął ramieniem wszystkich biednych: „Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40; por. też w. 41nn).

Ks. KAZIMIERZ PIKULSKI



Poezja religijna

WIEJSKA KAPLICZKA

Przy polnej drodze biała kapliczka stoi,
oplata ją wokół gąszcz białych powoi.
Przydrożne krzaki bzu i jaśminu
stoją na straży w pobliżu łubinu.

Gdzie spojrzeć — łąny zboża wszelkiego
łączą się we wstęgi — hen, do lasu dalekiego.
W blasku słonecznym jaśnieje krzyż prosty
kapliczki wiejskiej, w pejzaż już wrosły...

Gliniana figurka Najświętszej Pani
zdobiona farbami jasnymi jak błękit.
U stóp kapliczki dzieciaków gromada
bukiety kwiatów codziennie tu składa.

Na dróg roztaju wzniesiona przed laty
wyznacza koniec i początek pracy.
Dzień się zaczyna od Jej pozdrowienia,
Powracających wita w zmierzch utrudzenia.

Nim słońce wszędzie już lud pracowity
ku ziemi swej śpieszy w horyzont spowity
niskimi mgłami.

Tuż przy kapliczce, schylając głowy,
witają Maryję prostymi słowy:

— Bądź pozdrowiona, Matko Chrystusowa!
Na usta ludzi cisną się słowa

modlitwy rzewnej, wiary prawdziwej,
ufności pełnej, miłości niewątpliwej.

— Błogosław w pracy, pobłogosław, Boże!
Za Twą przyczyną wzrasta złote zboże.
Z małego ziarenka bochen chleba mamy.
Dzięki Twej dobroci głodu nie zaznamy.

O wieczornej porze, w czerwonym zachodzie,
sylwetki ciemne suną ku zagrodzie,
ku wiejskim chatom, gdzie siadają do stołu,
by wspólny posiłek spożywać po społu.

MAŁGORZATA KAPİŃSKA



MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLÓGICZNA (667)

W opracowaniu bpa M. Rodego

M

faktycznie tylko jedną naturę jako pierwszy oficjalnie i publicznie począł głosić archimandryta konstantynopoliński — Eutycheś. Tym twierdzeniem Eutycheś przeciwstawił się — nestorianizmowi, który został już potępiony przez sobór efeski w 431 roku. Z kolei jednak i Eutycheś oraz jego monofizycki pogląd został potępiony wprawdzie przez ówczesnego patriarchę konstantynopolińskiego, Flawiana, a następnie przez pap. Leona Wielkiego. Trzeba też podkreślić, że wprowadzenie Eutycheś został poparty przez tzw. „zbójcecki” sobór efeski, odbyty w 449 roku (latrocinium Ephesinum), którego to soboru Kościół nie uznał, jednak legalnie zwolany i odbyty sobór w Chalcedonie w 451 roku, potępił Eutycheśa i jego monofizytyzm, ale jednocześnie orzekł, iż Jezus Chrystus jest jedną Osobą Boską, ale istnieją w Nim realnie i odrębnie oraz działają w sobie właściwy sposób dwie natury: boska i ludzka. W wyniku herezja monofizycka spowodowała w Kościele rozłam. Usiłując go rozwiązać i przywrócić jedność doktrynalną, a taką kolejną próbę przedsięwziął np. ces. Herakliusz, faktycznie spowodowano powstanie nowych trudności i komplikacji, np. wystąpienie patriarchy konstantynopolińskiego — Sergiusza, autora nowej herezji, nazwanej — monoteletyzmem.

Monogamia — czyli jednożeństwo, albo małżeństwo jednego mężczyzny z jedną kobietą.

Do późnego średniowiecza, a nawet jeszcze w początkach XVIII w. przyjmowano dość zgodnie i powszechnie za jedyną prawdziwą naukę o pierwotnej rodzinie, opartej o małżeństwo monogamiczne. Zmiana i to zasadnicza daje się zauważyć w drugiej połowie XIX w. i to przede wszystkim pod wpływem ewolucjonistycznych dzieł H. Spencera i K. Darwina (ur. 1802, zm. 1882), przyjmujących i głoszących dla wszystkich społeczeństw jeden schemat rozwoju.

W 1861 roku szwajcarski uczonec, Jan Jakub Bachofen (historyk prawa i kultury; ur. 1815, zm. 1887) wydał w Stuttgarcie dzieło pt. *Das Mutterrecht, czyli Prawo matczyne*. Bachofen zaprzeczył dotychczasowej opinii o małżeństwie monogamicznym jako pierwotnej formie związkowej rodziny. W oparciu o tezy etnologii ewolucjonistycznej i spotykany u niektórych ludów starożytnych komunizm kobiet, opisywany przez Herodota, Diodora Sycylijskiego (ok. 80 — 20 przed n.e.), sławny historyk, autor 40 tomowego dzieła historii powszechnej, z którego zachowało się 15, przedstawił dzieje od najdawniejszych czasów do roku 60 przed n.e.) i in., wypowiedział twierdzenie, że monogamia jest już jednym z wielu ogniw pochodnych formy życia pierwotnej rodziny. Twierdził natomiast, że pierwotnie ludzie żyli w hordach, które też były najniższymi komórkami społecznymi, składały się zaś z odpowiedniej ilości kobiet i mężczyzn oraz dzieci. Nie było więc, podobno, według Bachofena małżeństwa dwojga ludzi. Rodzące się dziecko miało wiadomą matkę, ojciec jego wszakże w zasadzie był nieznanym. Przeto — oczywiście — w pierwotnej społeczności ludzkiej (tzw. hordzie) istniał matrylineat: dzieci należały do matki i po niej dziedziczyły, a nawet przez pewien okres w kulturze wczesnego rolnictwa miał też w konsekwencji istnieć i panować matriarchat, kobieta bowiem jako pierwsza zdołała gospodarczo eksploatować ziemię, zorganizować stosunkowo stałe gospodarstwo domowe, osiadłe, spowodowała więc przechodzenie z życia koczowniczo-wędrownego do osiadłego, i ten moment ekonomiczny dał jej też już wtedy nawet dominację nad mężczyzną.

Teoria, a raczej trzeba ją nazwać tylko hipotezą, bo już tu powiedzmy — ona się nie przyjęła w przyszłości, została jednak zrazu entuzjastycznie przyjęta w ówczesnej etnologii, a stała się głośną głównie poprzez dzieła Lewisa H. Morgana (1818 — 1881; to amerykański uczonec, his-

Pieśń o żołnierzach z Westerplatte

(fragment)

Kiedy się wypełniły dni
I przyszło zginąć latem,
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte.
(A lato było piękne tego roku.)
I tak śpiewali: — Ach, to nic,
że tak bolały rany,

bo jakże słodko teraz iść
na te niebieskie polany,
(A na ziemi tego roku było tyle wrzosu na
bukiety.)

W Gdańsku staliśmy tak jak mur,
gwizdząc na szwabską armatę,
teraz wznosimy się wśród chmur,
żołnierze z Westerplatte.
I ci, co dobry mają wzrok
i słuch, słyszeli pono,
jak dudnił w chmurach równy krok
Morskiego Batalionu.

Konstanty Indefons Gałczyński



Studzianki k. Magnuszewa, jeden z kamieni milowych wielkiej drogi od Lenino do Berlina. Tutaj w sierpniu 1944 r. Brygada im. Obrońców Westerplatte oraz jednostki 8 Armii Gwardyjskiej toczyły przez siedem dni zacięte boje z doborowymi zgrupowaniami i oddziałami pancernymi armii hitlerowskiej. Na zdjęciu: mauzoleum żołnierzy WP w Studziankach

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (668)

toryk, etnograf i działacz społeczny), wydane w 1851 i 1887 r. Morgan skonstruował poza tym własną teorię powstania i rozwoju rodziny. Oparł się w swoich dowodzeniach przede wszystkim o hawajski sposób oznaczania krewnych, uważając go za najprymitywniejszy. W systemie tym istnieją tylko trzy rodzaje oznaczników pokrewieństwa: dziadek — babcia, ojciec — matka, dzieci: brat — siostra. Zależnie od przynależności Hawajczycy, konkretniej i ściślej — członkowie badanych plemion — nazywali siebie: ojcami, dziadkami, braćmi itd. Z tego faktu Morgan wysnuł twierdzenie, że pierwotnie nie było małych rodzin, właściwych rodzin monogamicznych, a istnieć miały tzw. małżeństwa grupowe, a przed nimi jeszcze i w ich ramach tzw. bezład płciowy. Wskutek działania różnych elementów z biegiem czasu z tych form współżycia małżeńskiego i rodzinnego wykształcił się w pierw. matrylineat i matriarchat, potem patrylineat i patriarchat, wreszcie wyłonić się miała rodzina monogamiczna.

Teorie Bachofena i Morgana przyjęła w poważnej mierze ówczesna etnosocjologia i socjologia. Ich twierdzenia w formie popularnej krzewili wśród warstw robotniczych F. Engels oraz A. Bebel m.in. przede wszystkim poprzez swoje książki, Engels w książce pt. *Ursprung der Familie (Pochodzenie rodziny)*, a Bebel w książce pt. *Die Frau und der Sozialismus (Kobieta i socjalizm)*.

Pierwszym, który zakwestionował prawdziwość hipotez Bachofena i Morgana był etnolog finlandzki Ed. Westermarck. W swoich książkach pt.: (podajemy ich tytuły w przekładzie polskim) *Historia ludzkiego małżeństwa* (1901) i *Pochodzenie i rozwój idei moralnych* (1908) przeprowadził tezę, że nie bezład płciowy a właśnie monogamia jest pierwotną formą życia rodzinnego. Jednak nie zdołał swoją tezę zmienić zawsze jeszcze upowszechniającej się i przyjmowanej hipotezy Bachofena i Morgana. Dopiero działalność

i naukowe osiągnięcia trzech słynnych etnologów niemieckich spowodowały ożywioną dyskusję nad twierdzeniami ewolucjonistów, którym patronowali obok już wymienionych ewolucjonistów Bachofena i Morgana — Mac-Lennan, Robertson-Smith i in. Tymi etnologami niemieckimi są przede wszystkim: Br. Ankerman, Fr. Graebner i zwłaszcza — Wilhelm Schmidt, którzy stali się też twórcami w tej dziedzinie tzw. kierunku historycznego.

Podstawową tezę tej szkoły jest twierdzenie Schmidta o istnieniu trylinearnego schematu rozwojowego społeczeństw przeciw monolinearnemu ewolucjonistów. Najniższą fazą rozwojową każdego samodzielnie się rozwijającego społeczeństwa pierwotnego jest tzw. niższe myślistwo. Z niego społeczności ludzkie przechodziły stopniowo albo do myślistwa wyższego, inne do pasterstwa, jeszcze inne do rolnictwa. Rozwój ten odbywał się równolegle. Kultury te biegly zrazu obok siebie, później krzyżując się, rodziły przeróżne warianty kulturowe. Zaznaczyć tu też trzeba, że teorie ewolucjonistów zaatakowali tzw. funkcjoniści, przyjmujący nieoznaczoną wielość możliwych schematów rozwojowych społeczeństw pierwotnych. Główny przedstawiciel tej szkoły, Polak, profesor uniwersytetu w Londynie, Bronisław Malinowski (1884 — 1942) w tym przedmiocie stwierdza: „Teoria małżeństwa grupowego jest rzeczą, która właściwie należy już tylko do historii etnologii (*Prawo, zwyczaj, zbrodnia w społeczności dzikich*, Warszawa 1939, s. 29)... „Nigdzie na świecie nie znajdujemy ani jakichkolwiek aktów grupowych, ani grupowych umów. W żadnej społeczności małżeństwo nie jest nigdy niczym innym jak indywidualną osobistą umową, wiążącą jednego mężczyznę i jedną kobietę” (tamże).

Odnosnie do istnienia u ludów pierwotnych tzw. bezładu płciowego Wilhelm Schmidt w sławnej swojej książce pt. *Die Stellung der Pygmaenvölker in der Entwicklungge-*

Refleksje na temat zła

Oto teraz właśnie pojawiło się wielu
antychrystów:
stąd poznajemy, że już jest ostatnia go-
dzina.

Wyszli oni z naszego grona, lecz nie byli
naszego ducha.
(1J 2, 18—19)

W dniu 1 września br. mija 43 rocznica wybuchu II wojny światowej. Rocznicą ta wywołuje w nas różne refleksje. Dla wielu ludzi są to tylko refleksje historyczne, związane z odtworzeniem wydarzeń, które miały miejsce we wrześniu 1939 r. Są jednak i tacy, dla których rocznica ta jest wezwaniem do głębszej refleksji; do zastanowienia się nad przyczynami tej tragedii, nad okolicznościami, które do niej doprowadziły, nad obecnością zła w świecie, w człowieku.

To, jak traktujemy ludzi, świat i zachodzące w nim wydarzenia zależy od bardzo wielu przyczyn. Wśród nich istotne miejsce zajmuje nasz światopogląd; wartości, które pragniemy uznać za własne. Nasz, chrześcijański światopogląd, którego źródłem jest nauka Jezusa Chrystusa, nakazuje nam patrzeć, analizować i oceniać zachodzące w świecie wydarzenia z perspektywy naszej wiary i moralności. Przypatrując się z tej perspektywy wszystkim okropnościom wojny, nasuwa się nam jednak pytanie: skąd się bierze tyle zła w człowieku, że zdolny on jest do takiej nienawiści; do przeciwstawienia się własnej naturze i woli Boga, który nam nakazał: „Miłuj bliźniego swego jak siebie samego”.

Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że nie można dać pełnej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Ale należy podjąć taką próbę, aby choć w ten sposób przyczynić się do tego, żeby zło nigdy więcej nie ogarnęło tylu ludzkich serc, co w czasie panowania faszyzmu.

Zastanawiam się jak faszyzm mógł powstać na ziemi, która wydała tak znakomite umysły, jak: Goethe, Schiller, Kant czy Hegel. Dlaczego człowiek ulega złu? To, że zło potrafi usidlić człowieka, a nawet cały naród, może wynika z jego umiejętności przybierania różnych postaci, np. może człowiek ulega złu jako dobru. Nie zawsze — przynajmniej na początku — ludzie są zdolni to zło odkryć. Zło, nie chce uchodzić za absurd, szuka usprawiedliwienia, uzasadnienia, racjonalizacji. Często zło przybiera nawet postać dobra albo prawdy, posługuje się kłamstwem, aby tylko osiągnąć swój cel. Zło ma zmienne oblicze. Kryje w sobie rozmaite paradoksy: jest złe i dobre zarazem, odpycha i przyciąga, przeraża i fascynuje, jest wiarygodne i zdradliwe. Jest nieokreślone. Do każdego z nas znajduje inną drogę.

A jaką drogę wybrał faszyzm?

Zło, gdy chce ogarnąć człowieka, stosuje pewną „taktykę”. Faszyzm przede wszystkim starał się postawić własne cele ponad etykę. Przybierał te cele we wzniesłe hasła i pragnął, aby zostały one — automatycznie — zaakceptowane przez społeczeństwo, jako moralnie dobre. To, co stało się celem działania faszyzistów, musiało być uznane przez społeczeństwo za moralnie dobre. Oczywiście, im mniej pewne i im bardziej oddalone były te cele, tym łatwiej zło takich celów dawało się usprawiedliwić. Najokropniejsze zbrodnie usprawiedliwiano nadzieją szczęścia, które w nieokreślonej przyszłości z nich wyrosnie. Faszyzm przyjął na swe sumienie zbrodnię na milionach istnień ludzkich, gdyż jak twierdził, tylko w ten sposób mógł zrealizować swe wzniesłe cele; budowanie szczęścia przyszłych pokoleń Niemców.

Faszyzm stosował także inne metody zniewolenia narodu. Starał się kontrolować wszystkie dziedziny życia ludzkiego, ingerować w najdrobniejsze sprawy, niszczyć wszelkie przejawy życia społecznego i wcisnąć je w ujednolicony, łatwy w kierowaniu, system organizacyjny (młodzież i dorośli mieli do wyboru: NSDAP albo jej organizacje paramilitarne i militarne). A wszystko to po to, aby osamotnionego i zniewolonego człowieka łatwiej ogłupić i wprzeznąć w tryby zbrodniczej maszyny.

Dodajmy do tego, że faszyzm głosił nadzieję terrystyczną, upowszechniał rozrywkę konsumpcyjną i propagował ideał Niemca-Nadczłowieka, który nie w nauce i kulturze, nie w dyskusji, ale w brutalnej walce widział sposób realizacji swoich celów. Może choć tak szkieletowo zarysowany obraz faszyzmu pozwoli nam zrozumieć sposoby działania zła, które wykorzystuje najniższe ludzkie instynkty i pragnienia, aby osiągnąć swój cel.

My, chrześcijanie, jeżeli chcemy przeanalizować problem zła w świecie, musimy nie tylko przypominać i oceniać konkretne jego przejawy, ale musimy także sięgnąć do Pisma św. i Ojców Kościoła, aby zapoznać się z chrześcijańską nauką na ten temat.

Pismo św. wielokrotnie stwierdza fakt istnienia zła. Mówi się tam, że zło pojawia się w porządku fizycznym i moralnym. „Wprawdzie każda rzecz jest czysta, stałaby się jednak złą, jeśliby człowiek spożywając ją dawał przez to zgorszenie” (Rz 14, 20). „I was, którzy byliście niegdyś obcymi i wrogami w sposobie myślenia na skutek złych czynów, teraz znów pojednał w doczesnym Jego ciebie przez śmierć” (Kol 1, 21—22). A także zło jako takie: „Nie czynią bowiem dobrego, które chcą, ale czynią to zło, którego nie chcą” (Rz 7, 19).



Przyjdźcie, zobaczcie dzieła Pana
działa zdumiewające, których dokonał na ziemi.
On uśmierza wojny aż po krańce ziemi,
On niszczy łuki, łamie włócznie, tarcze ogniem pali.
„Skończcie z tym, a we mnie Boga uznajcie,
wzniesłego wśród narodów, wzniesłego na ziemi” (Ps 45, 10)

W Piśmie św. zło, które oddziela człowieka od Boga i bliźniego, utożsamiane jest z Szatanem. „Do każdego, kto słucha słowa o królestwie, a nie rozumie go, przychodzi Zły i porywa to, co jest zasiane w jego sercu (Mt 13, 19).

Problem zła nie jest w Piśmie św. poruszany jako taki. Zło jest interpretowane jako wyraz zasłużonej kary Bożej, zsyłanej po to, aby człowiek opamiętał się i nie popadał w jeszcze większe zło, „... myślicie, że owych osiemnastu, na których zwała się wieża w Siloe i zabiła ich, byli większymi grzesznikami niż inni mieszkańcy Jerozolimy? Nie, mówię wam; lecz, jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie” (Łk 13, 4—5). Zło nie jest metafizyczną zasadą ani elementem konstytutywnym świata (jak twierdził Zaratustra), ani nawet dziełem „ducha ciemności” jako przeciwieństwa „ducha światłości” (dualizm gumrański). Zło nie pochodzi od Boga („Kto doznał pokusy, niech nie mówi, że Bóg go kusi. Bóg bowiem ani nie podlega pokusie ku złemu, ani też nikogo nie kusi” — Jk 1, 13), zło pochodzi z serca ludzkiego, które od początku swego istnienia było złe: „Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego, pochodzą złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, złośliwość, chytrość, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Wszystko to złe z wnętrza pochodzi i nieczystym czyni człowieka” (Mk 7, 21—23). Zło nie jest wynikiem niewiedzy, lecz grzechu. Tylko Jezus Chrystus był w stanie pokonać skutecznie zło i tylko Jemu zawdzięcza człowiek uwolnienie od zła i jego mocy. „Łaska i pokój (niech będą) z wami od Boga, Ojca naszego, i od Pana Jezusa Chrystusa, który samego siebie złożył jako ofiarę za nasze grzechy, aby, zgodnie z wolą Boga i Ojca naszego, wyrwać nas z obecnego, w złości pogrążonego świata” (Gl 1, 4). Wierzymy, że tylko Jezus Chrystus, Zbawiciel wszystkich ludzi, może wyzwolić nas od zła.

Na tak sformułowanych w Piśmie św. podstawach kształtowała się nauka chrześcijańska na temat zła. Istotne miejsce w tej sprawie zajmuje nauka św. Augustyna, która powstała w antymanichejskich polemikach.

Problemem zła zajmował się św. Augustyn (353—430) przez całe swoje życie. Ważne miejsce w jego twórczości zajmuje małe dzieło napisane w latach 399—405, a skierowane przeciw manichejczykom pt. „O naturze dobra”. W rozprawie tej odpowiada św. Augustyn na pytanie, czy istnieje — jak to twierdzili manichejczycy — pierwotne, samoistne, substancjalne zło.

Według św. Augustyna zło jest naruszeniem miary przynależnej jakiemuś bytowi (brakiem) — czy to gatunku, do którego dany byt z natury należy, czy to porządku, który zakłada natura tego bytu. Absolutne zło jest niemożliwe do przyjęcia, bo byłoby drugim absolutem poza Bogiem.

Szukając genezy zła, św. Augustyn stwierdził, że skoro zło jest brakiem, a więc nie jest bytem, nie powinno się szukać specjalnej jego przyczyny. A jeżeli już chce się jej szukać, to w fakcie, że substancja stworzona jest z niczego (Oczywiście, mowa jest tu o genezie i przyczynach zła metafizycznego).

Ze zła metafizycznego wpływa zło fizyczne (cierpienie) i moralne. Zdaniem św. Augustyna, jedynym wytłumaczeniem cierpień istniejących w świecie jest grzech pierworodny. Grzech (zło moralne) jest smutnym przywilejem istoty rozumnej, bo (aby grzeszyć trzeba mieć rozum i wolną wole).

Św. Augustyn, zwalczając manichejską teologię, opracował konwencjonalną chrześcijańską filozofię zła, oparta na negatywnej naturze zła (To, co jest, jest dobre. Brak czegoś w bycie, jakiejś jego właściwości, tworzy zło), której zadaniem było zachować dobro bytu i idee Boga jako jedynego Stwórcę.

Interesującą filozofię zła proponuje ks. Józef Tischner w swych rozważaniach: „Zło w dialogu kuszenia”.

„Zło nie jest bytem, ani niebytem — zło jest zjawiskiem, ściślej — jest „zjawą”, która straszy i kuszi. Zaliczamy zło do ogólnej kategorii zjawisk. Nie znaczy to, że je w ten sposób bagatelizujemy. Nie to jest ważne, jak zło istnieje, ale czego ono chce. Mówiąc, że jest zjawą, nie posuwamy sprawy zbyt daleko. W gruncie rzeczy wciąż jeszcze jedną nogą stoimy w ontologii. Aby dotknąć istoty, trzeba porzucić ontologię, bez względu na paradoksy, jakie stąd wynikną. Nasze kluczowe stwierdzenie brzmi: zło jest poza bytem i niebytem — jest transcendentem w sensie radykalnym. Nie ma sensu pytać, czy zło jest. Nie ma sensu pytać, czy zła nie ma. Zło jest dane jako sens. I dobro jest dane jako sens. Byt i niebyt są pochodne od sensu. Opisując dobro i zło kategoriami wyłonionymi z pojęcia bytu i niebytu, nie trafimy w istotę sensu”.

Przedstawione wyżej refleksje na temat zła świadczą dobitnie, że „teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno” i że tylko Bóg może rozwiązać ten problem.

MAREK AMBROŹY



Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego, bp Tadeusz R. Majewski wygłasza oświadczenie

Bp Tadeusz R. Majewski wręcza akt przekazania aparatu sztucznej nerki pani prof. dr Marii Goncarzewicz — dyrektorowi Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka



Dary Kościoła Polskokatolickiego

W dniu 9 lipca br. zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego w PRL, ks. bp. Tadeusz R. Majewski i sekretarz Rady Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego w PRL i prezes Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików, ks. dr W. Wysoczański przekazali społeczeństwu polskiemu sztuczną nerkę, części zamienne, instrumenty medyczne i lekarstwa. Z tej okazji ks. bp T. Majewski wygłosił okolicznościowe przemówienie i odczytane zostały niżej drukowane akty (fragmenty aktu przekazania tych darów, jak również przemówienia ks. bp. T. Majewskiego przekazała również Polska Telewizja).

A K T PRZEKAZANIA APARATU SZTUCZNEJ NERKI I PEŁNEGO KOMPLETU CZĘŚCI ZAMIENNYCH

Rada Synodalna Kościoła Polskokatolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej A K T E M niniejszym przekazuje:

SZPITALOWI CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

APARAT SZTUCZNEJ NERKI
I KOMPLETNY ZESTAW CZĘŚCI
ZAMIENNYCH.

Powyższa aparatura została zakupiona w firmie „GAMBRO” w TORONTO za kwotę \$ 16.500,— (szesnaście tysięcy pięćset dolarów) na prośbę zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego przez współwyznawców i ks. sen. Donalda M. MALINOWSKIEGO.

- I. Przekazując dar polskich serc życzymy, aby przekazana aparatura umożliwiała ratunek przed śmiercią i powrót do zdrowia ciężko chorym na nerki ludziom.
- II. Przy aparaturze będzie znajdowała się tabliczka z napisem:
„DOTACJA KOMITETU POMOCY
DLA POLSKI
Ks. Sen. Donald MALINOWSKI — Poseł
Proboszcz Parafii Polskiego Narodowego
Katolickiego Kościoła — WINNIPEG”.
- III. Z aparatury korzystać będą chorzy bez względu na wyznanie, przekonania i światopogląd, a dysponentem będzie Kierownictwo Szpitala-Pomnika CENTRUM ZDROWIA DZIECKA.

Za Radę Synodalną:

† Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI
Zwierzchnik Kościoła Polsko-
katolickiego i Przewodniczący
Rady

Ks. Dr Wiktor WYSOCZAŃSKI
Sekretarz Rady

A K T PRZEKAZANIA CZĘŚCI WYMIENNYCH DO APARATÓW SZTUCZNEJ NERKI

Rada Synodalna Kościoła Polskokatolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej A K T E M niniejszym przekazuje:

SZPITALOWI CENTRUM ZDROWIA
DZIECKA W WARSZAWIE części wymienne
do aparatów sztucznej nerki firmy „GAMBRO”.

Według otrzymanego wykazu z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej w Warszawie — zakupiona została aparatura części wymiennych składająca się z 49 pozycji i różnych ilości w firmie „GAMBRO” w Toronto wg załącznika na ogólną kwotę \$ 14.600,— (łącznie z transportem lotniczym: Toronto—Montreal—Montreal—Warszawa). Powyższa aparatura została zakupiona na prośbę zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego — Biskupa Tadeusza R. MAJEWSKIEGO i Ks. Dr. Wiktora WYSOCZAŃSKIEGO przez Pierwszego Biskupa Polskiego Narodowego Kościoła w Stanach Zjednoczonych A.P. i Kanady — Biskupa Franciszka ROWIŃSKIEGO i Prezesa Polsko-Narodowej „Spójni” w Ameryce p. Vincentego YUSKIEWICZA.

- I. Przekazując dar polskich serc naszych współwyznawców ze Stanów Zjednoczonych A.P. życzymy, aby ofiarowane przez nas części wymienne do aparatów sztucznej nerki zostały natychmiast wykorzystane w leczeniu szpitalnym i przyczyniły się do powrotu do zdrowia i ratowania ludzkiego życia.
- II. Przekazane przez nas części wymienne w razie pilnej potrzeby winny być nieodpłatnie użyczane innym szpitalom, które zgłoszą się w nagłych przypadkach do Kierownictwa Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka.
- III. Dysponentem części wymiennych będzie Kierownictwo Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

Za Radę Synodalną:

† Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI
Zwierzchnik Kościoła Polsko-
katolickiego i Przewodniczący
Rady

Ks. Dr Wiktor WYSOCZAŃSKI



Bp Tadeusz R. Majewski wręcza akt przekazania darów przewodniczącemu Społecznego Komitetu Budowy Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka

Przedstawiciel Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej składa na ręce bp. Tadeusza R. Majewskiego podziękowanie za przekazane dary





Prof. Tadeusz Kotarbiński — aktywny uczestnik szeroko rozbudowanego w czasie okupacji systemu tajnego nauczania

Władze hitlerowskie od początku okupacji 1939 r. nie ukrywały swego programowego dążenia, by uczynić z Polaków naród niewolniczo zależny i pozbawiony wszystkiego, co stanowi o jego duchowej sile i wartości. Toteż ze szczególną zaciekleścią tępiły na terenach okupowanych wszelkie przejawy polskiego życia kulturalnego, a materialny dorobek polskiej kultury niszczyły lub przyniszczały. Ta dewastacja, planowa i programowa spowodowała w nie mniejszym stopniu niż zniszczenia wynikłe z samego przebiegu działań wojennych, bezpowrotną utratę wielu dzieł sztuki, zabytków architektury, pomników i pamiątek narodowych. Systematycznie wywożono zbiory muzealne. Pastwą płomieni i świadomej akcji niszczy-cielskiej okupanta padło w Polsce około 85% zbiorów bibliotecznych.

Groźniejsze od materialnych były jednak straty w potencjale ludzkim. Wśród ofiar hitleryzmu ogromny odsetek stanowili ludzie szczególnie dla kultury zasłużeni. Okupant świadomie zamykał przed społeczeństwem polskim drogę do oświaty i nauki, likwidując — nawet na terenie tzw. Generalnej Guberni, oficjalnie przeznaczonym na obszar mieszkalny dla polskiej ludności — nie tylko wyższe uczelnie, ale także szkoły średnie. Swój stosunek do przedstawicieli polskiej nauki władze hitlerowskie zademonstrowały już w pierwszych tygodniach okupacji. Z zuchwałym cynizmem zwabiono podstępnie w listopadzie 1939 r. kilkudziesięciu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego na odczyt w gmachu uczelni, gdzie wszystkich aresztowano i wywieziono do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Czternastu spośród nich pobyt w obozie przypłaciło śmiercią, m.in. rektor UJ, historyk prawa — Stanisław Estreicher, wybitni historycy literatury — Ignacy Chrzanowski i Stefan Kołaczowski, przyrodnik Kazimierz Kostanecki, geograf Jerzy Smoleński.

Na terenach okupowanych likwidacji uległy wszelkie polskie instytucje i placówki kulturalne: wydawnictwa, prasa, teatry, stowarzyszenia i związki artystyczne. Prasę Niemcy zastąpili kilkoma gazetami w polskim języku, będącymi bezpośrednim narzędziem hitlerowskiej propagandy. Nikt z uczonych Polaków z nimi nie współpracował. Bojkotowane przez ogół społeczeństwa były też — z podobnych powodów — kina oraz dozwolone przez okupanta publikacje i teatryki, prezentujące produkcję artystyczną na najniższym poziomie, obliczoną na sianie demoralizacji.

Rzeczywiste życie kulturalne narodu rozwijało się w warunkach ścisłej konspiracji. Związane było z działalnością patriotycznych organizacji walki podziemnej. Powstał sze-

roko rozbudowany system tajnego nauczania, obejmujący zarówno szkolnictwo średnie, jak trzy tajne uniwersytety (Uniwersytet Ziemi Zachodnich działający w Warszawie, Uniwersytet Warszawski oraz Uniwersytet Jagielloński w Krakowie). Wśród ponad tysiąca nielegalnych czasopism (zgodnie z zasadami konspiracji zmieniały one często tytuły) wychodziło w czasie okupacji około 40 pism kulturalnych i literackich. Nie brakło też pozycji literackich wśród konspiracyj-

scy, poeta i krytyk Włodzimierz Pietrzak. Szczególnie tragicznie zdziesiątkowani zostali najmłodszy pisarze, których debiuty przypadły na lata okupacji. Cała grupa młodych poetów warszawskich, często zapowiadających nieprzeciętne talenty, poniosła śmierć w akcjach bojowych i w powstaniu warszawskim (m.in. Krzysztof Kamil Baczyński i Tadeusz Gajcy). Jako żołnierz I Armii Wojska Polskiego zginął w roku 1944 poeta Lucjan Szenwald.

Fragmenty szkicu o polskim życiu kulturalnym w latach drugiej wojny światowej

nych publikacji książkowych. Ukazało się m.in. kilka antologii poetyckich (np. „Pieśń niepodległa”, „Słowo prawdziwe”) oraz sporo odbitych na powielaczach zbiorów wierszy poszczególnych poetów. Jedną z najpowszechniejszych form kulturalnej działalności były konspiracyjne wieczory literackie. Urządzano też nielegalne spektakle teatralne.

W tym podziemnym życiu kulturalnym czynny udział brali przebywający w kraju pisarze. Większość spośród nich nie zrezygnowała z pracy twórczej. Gromadzili oni — materiały do dzieł, które w tym czasie nie mogły się ukazać i dopiero po wojnie miały stać się świadectwem przeżyć narodu. Współpracowali, a dotyczy to zwłaszcza poetów, z konspiracyjną prasą. Utwory ich docierały do czytelników krążąc w setkach odpisów, były recytowane na wieczorach poetyckich, zebraniach podziemnych organizacji, kompletach tajnego nauczania. Uczono się ich na pamięć, często nie wiedząc, kto jest ich autorem. W tych latach śmierci i zniszczenia szczególnej wagi nabrały słowa poetów wzywające do walki, niosące nadzieję, otuchę, zapowiedź lepszej przyszłości. Na przekór grozie, cierpieniom i niebezpieczeństwu rodził się w społeczeństwie wielki głód porywającego do czynu słowa, głód poezji.

Rola, jaka przypadła pisarzom w tych trudnych latach, nie zawsze ograniczała się jednak do zadań związanych z ich zawodem. Wielu walczyło z bronią w rękę, wielu padło w walce lub zginęło w niemieckich akcjach eksterminacyjnych. Już w kampanii wrześniowej poległ w czasie bombardowania w Lublinie poeta Józef Czechowicz, a dramaturg i filozof Stanisław Ignacy Witkiewicz w chwili kłęski z rozpaczy popełnił samobójstwo. Rozstrzeliwani, pomordowani w więzieniach i obozach zgineli w latach okupacji m.in. poeci: Mieczysław Jastrun, Zuzanna Ginczanka, Tadeusz Hollender, Paczkowski, Lech Piwowar, Władysław Sebyła, Edward Szymański. Z prozaików: Halina Górska, Gustawa Jarecka, Halina Kraheńska, Bruno Schulz. Pedagog i pisarz dla dzieci Janusz Korczak oddał swe życie nie chcąc opuścić prowadzonych na śmierć dzieci z sierocińca, którym kierował. Rozstrzelany został wraz z grupą profesorów Uniwersytetu Lwowskiego znany wybitny krytyk, eseista i tłumacz Tadeusz Boy-Żeleński. Inny czołowy krytyk lat międzywojennych, Karol Iżykowski zmarł na skutek komplikacji spowodowanych przez rany odniesione w powstaniu warszawskim. Jeszcze inny krytyk, Ignacy Fik został aresztowany i rozstrzelany jako sekretarz Miejskiego Komitetu podziemnej PPR w Krakowie. W powstaniu warszawskim zginęli m.in. wybitny powieściopisarz Juliusz Kaden-Bandrowski, para-

prozaików — Wanda i Stanisław Miłaszewski. Spora grupa pisarzy, np. Pola Gojawiczyńska, Zofia Kossak-Szczucka, Gustaw Morcinek, Michał Rusinek, Tadeusz Hołyński, a z pokolenia wojennych debiutantów — Tadeusz Borowski, przeszła w latach okupacji przez piekło hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych, pozostawiając wstrząsające świadectwa tych przeżyć w późniejszej twórczości. Niektórzy — Leon Kruczkowski, Konstanty Ildefons Gałczyński — przetrwali te lata w obozach jenieckich.

W pierwszych latach wojny 1939—1941 znaczne grono pisarzy, wśród nich wielu związanych w latach międzywojennych z ruchem rewolucyjnym, skupiło się we własnym do Związku Radzieckiego Lwowie. Powstało tam polskie czasopismo literackie „Nowe Widnokreśli” pod redakcją Wandy Wasilewskiej, działał polski teatr, wychodziły polskie książki. Istnienie ośrodka lwowskiego unicestwił w czerwcu 1941 roku napad Hitlera na Związek Radziecki. Część skupionych we Lwowie pisarzy pozostała na terenach okupowanych przez Niemców, niekiedy przypłacając to życiem (Tadeusz Boy-Żeleński), inna część znalazła się w głębi ZSRR, współpracując następnie w działalności powstałego tam Związku Patriotów Polskich i wstępując w szeregi I Armii Wojska Polskiego (Janina Broniewska, Jerzy Putrament, Lucjan Szenwald, Adam Ważyk).

W trudnej sytuacji znaleźli się również pisarze, których wojenne losy rzuciły do krajów zachodnich. Twórczość niektórych z nich odegrała znaczną rolę w latach wojny, wyrażając patriotyczne nastroje i wykorzystując warunki swobodnej publikacji, jakich nie mieli pisarze w okupowanej Polsce. Spora grupa autorów działała w Anglii (m.in. Antoni Słonimski, Maria Kuncewiczowa, Maria Pawlikowska-Jasnorzeńska, Ksawery Pruszyński, autorzy popularnych powieści o walkach polskich lotników — Arkady Fiedler i Janusz Meissner). W Londynie wychodziło kilka polskich pism literackich, ukazywały się polskie książki. Kilku pisarzy znalazło się w Ameryce, np. Julian Tuwim, który tam pisał swój wielki poemat „Kwiaty Polskie”, poeci Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński, prozaik Witold Gombrowicz, reportażysta Melchior Wańkowicz. Wreszcie na Bliskim Wschodzie przebywał w latach 1942-1945 Władysław Broniewski.

HERBERT WIDERA



Dojrzałość

szkolna

Na dojrzałość szkolną dziecka składa się kilka czynników, do których psychologowie przywiązują odmienną wagę. Zacząć trzeba od dojrzałości fizjologicznej. Już na pierwszy rzut oka widać, patrząc na grupę pierwszoklasistów, jak się te dzieci różnią między sobą: jedne wyglądają na pięciolatki, inne są wyrosnięte tak, że wyglądają na osiem i więcej lat. Jednakowy wiek życia nie oznacza bowiem że równocześnie wszystkie dzieci osiągnęły jednakowy wiek fizjologiczny: wagę, wzrost, pojemność płuc itd.

Z rozwojem fizjologicznym łączy się ściśle rozwój psychoruchowy — dziecko musi mieć dobrze opanowane i wyćwiczone pewne ruchy, które pozwolą mu np. opanować sztukę pisania. Dziecko niezgrabne, o ruchach nieskoordynowanych ma z tym wielkie trudności, podobnie dziecko nie umiejące opanować swej ruchliwości nie potrafi — jak tego wymaga szkoła, siedzieć nieruchomo, słuchać w milczeniu i uważać na lekcji.

Dziecko idące do szkoły lub do klasy zerowej musi osiągnąć odpowiedni do tego stopień dojrzałości umysłowej. Tymczasem dzieci, rozpoczynające naukę w szkole, różnią się znacznie między sobą poziomem rozwoju umysłowego. W.D. Wall w swej książce pt. „Wychowanie i zdrowie psychiczne” pisze, że: „W zakresie zdolności umysłowych da się wyraźnie zauważyć w grupie dzieci 6-letnich rozpiętość 4 lat, lub nawet większą między rozwojem umysłowym dzieci mniej zdolnych i bardziej zdolnych, a rozpiętość około 6 lat gdy dochodzą one do 10 roku życia”.

Ważną sprawą jest także dojrzałość społeczna dziecka. Wyraża się ona w uzyskaniu przez dziecko większej niezależności w stosunku do dorosłych i łatwym włączaniu się w grupę rówieśników. Szkoła ma inną zupełnie strukturę społeczną niż rodzinny dom — dziecko nie jest tu ośrodkiem zainteresowania, ale takie samo, jak inne dzieci i samodzielnie musi zdobywać sobie pozycję w klasie: zarówno w stosunkach z nauczycielem, jak i z kolegami. Musi też na parę godzin rozstać się z otoczeniem domo-

wym do którego przywykło, co bywa nie raz dla dzieci, które nie chodziły do przedszkola, ciężkim przeżyciem. Dziecko musi też przed pójściem do szkoły osiągnąć pewien określony stopień samodzielności: musi się umieć samodzielnie ubrać i rozebrać, zasnurować buty, jeść, porządkować i pilnować swe przybory szkolne, a także znać pewne grzecznościowe formy współżycia.

Od wielu lat psychologowie opracowywali metody określające stopień dojrzałości szkolnej dziecka. Są to tzw. skale do badania dojrzałości szkolnej, składające się z krótkich prób-testów pozwalających na określanie cech psychicznych badanego. Próby te nie mają na celu badania wiadomości dziecka, które nabędzie przecież dopiero w trakcie nauki, lecz zorientowanie się w ogólnym poziomie jego rozwoju. Ważna jest też obserwacja dziecka w czasie prowadzenia badania oraz rozmowa-wywiad przeprowadzana z matką. Taka rozmowa dostarcza psychologowi wiadomości o środowisku dziecka, jego charakterze, dotychczasowym rozwoju i zainteresowaniach.

Każde z rodziców na pewno chciałoby, aby jego dziecko było jak najlepiej przygotowane do szkoły. Nie wszystko, oczywiście, od nich zależy, ale na dojrzałość umysłową dziecka ma jednak duży wpływ postępowanie rodziców. Niektórzy rodzice sądzą, że przygotowują najlepiej dziecko ucząc je czytania i pisania. Jest to błędny pogląd. Czytania i pisanie dziecko będzie uczyć się w szkole, natomiast z domu powinno wynieść dobrą znajomość mowy ojczystej, odpowiedni zasób wiedzy, słów, ogólne pojęcie o otaczającym je świecie, umiejętność odróżnienia czasu przeznaczanego na pracę (naukę), od czasu zabawy — skupienia się, zdyscyplinowania — słowem tego wszystkiego, co mu będzie pomocne w podjęciu nauki szkolnej. Dziecko zdrowe, zręczne, śmiałe, umiejące opowiadać, rysować, lepić, wycinać, umiejące się bawić w grupie rówieśników, a także skupić uwagę i słuchać — jest za datkiem na dobrego ucznia.

(A)

Błędy rodziców

Gdy tylko dziecko zaczyna rozumieć, jest straszne! A to „dział je porwie do torby”, a to „młlicjant zabierze, bo niegrzeczne”, a to znowu „mama zostawi je i pójdzie sobie, albo je sprzeda i kupi inne grzeczne”. Nie brak i grózb tego typu: „palce ci poobcinam, jak nie przestaniesz obgryzać paznokci”.

Szczęśliwie dzieci dość szybko orientują się, że są to groźby bez pokrycia i nie robią sobie z nich wiele. Ale nie wszystkie tak reagują. Dzieci pobudliwe, wrażliwe, pod wpływem ciągłego straszenia i grózb stają się nerwowe, zrywają się w nocy z płaczem, nie chcą wejść do ciemnego pokoju, są lękliwe, brak im, koniecznego dla dzieci, poczucia pewności i oparcia w matce. Jest to jeden z najczęściej spotykanych błędów wychowawczych popełnianych przez rodziców.

Inni rodzice za ideał wychowania uważają wskazywanie swemu dziecku zalet innych dzieci w szczególności ich rodzeństwa, czy dzieci z dalszej rodziny: „Popatrz, jak Beata ładnie je i grzecznie siedzi przy stole — a ty?”, „Agnieszka zawsze pomaga mamie, a ty nic nie chcesz zrobić”, „Andrzejek uczy się na same piątki, a ty!” Takie porównania poniżają dziecko, i podobnie jak straszenie, nie przynoszą pozytywnego skutku, a czasem wręcz odwrotnie. Dziecko zaczyna nienawidzić brata, kuzyna czy kolegę stawianego mu za wzór i w duchu postanawia, że nigdy takie nie będzie. Często też zaczyna „na złość mamie” gorzej się zachowywać i uczyć. Dzieci poniżane buntują się lub stają się

apatyczne, obojętne, jest im już wszystko jedno.

Nie mamy danych statystycznych, ile dzieci jest u nas karanych biciem, ale w ogromnej większości rodzin bicie jest najprostszą, najłatwiejszą dla dorosłych i dlatego najczęściej stosowaną karą. Małym daje się „po łapach” albo klapsa w pupę, starszym nie szczędi się kuksańców, a w wielu rodzinach ojcowski pas należy do trwałej tradycji wychowawczej. Bije się zaraz po przewinieniu, albo „na zimno” — jako wyrok po rozpatrzeniu „przestępstwa” dziecka. Bicie jest w dużej mierze sposobem rozładowania złości i zdenerwowania rodziców, łatwo bić słabszego i zależnego od siebie, a przy tym co za miłe poczucie satysfakcji, że tak się dużo robi, by wychować dziecko na „porządnego człowieka”.

O szkodliwości bicia pisano dużo. obrońcy tego sposobu wychowania wysuwają między innymi argument, że i ich w dzieciństwie bito i nie zaszkodziło im to, przeciwnie, wyrosli na porządnym ludzi. Ale ci porządni są nimi nie na skutek bicia, ale pomimo bicia. Bicie bowiem często wypacza charakter. Dzieci bite stają się nerwowe, przyzwyczajają się do kłamstwa (by uniknąć bicia, często rodzi się w nich poczucie krzywdy, utajona nienawiść przeciwko rodzicom, chęć zemsty („jak dorosnę pokażę im”) i bunt.

A więc czy nie karać dzieci? Owszem, w pewnych wypadkach trzeba dziecko ukarać. Musi ono bowiem wiedzieć, że pewne czyny pociągają przykre konsekwencje. Tylko zastanówmy się, czy nie karzemy za często i zbyt ostro? Czy nie karzemy czasem dla wyładowania własnej irytacji, lub dla upokojenia swego sumienia, nie myśląc o wychowawczych konsekwencjach kary. I czy wychowanie polega tylko na karach?! Wychowywać trzeba nie tylko karząc, ale i nagradzając.

Nagrody i kary odgrywają dużą rolę w wychowaniu, jednak najważniejsza jest atmosfera domu, w którym dziecko się wychowuje. Dziecko też od najmłodszych lat musi wiedzieć, co mu wolno, a czego nie i powinno nie zależeć od chwilowego humoru rodziców. Zakazy muszą być przy tym konsekwentnie stosowane. Karą zaś nie może być bicie, kłęczenie w kacie, czy bezmyślne przepisywanie sto razy „będę zawsze mówił prawdę”, gdyż to nie odnosi żadnego skutku! Kara musi być dostosowana do psychiki dziecka. Można pozbawić je jakiejś przyjemności (zakaz oglądania telewizji, czy pójścia do kina), gdy jest zbyt rozbrykane i niesforne przy stole, odizolować je na jakiś czas posyłając do oddzielnego pokoju itp.

I trzeba pamiętać, że jak wszystko w wychowaniu, tak nagrody i kary muszą być dawane z miłością. Niech dziecko czuje, że stosowanie przez nas kary nas nie cieszy, ale przeciwnie, bardzo smuci. Można pozbawić słodyczy czy kina, lecz nie wolno, ani na moment, pozbawić go ciepła i miłości rodziców.

(M.)



Funkcje miłości macierzyńskiej i ojcowskiej w ujęciu E. Fromma

Zasadnicza różnica pomiędzy miłością matki i miłością ojca, wypływa, zdaniem amerykańskiego psychoanalityka i filozofa Ericha Fromma, z bliskiego związku matki z dzieckiem. Celnie to precyzuje autor mówiąc, że na istotę człowieczeństwa składa się głęboko tkwiąca chęć tworzenia czegoś nowego. co pozwoli mu (tj. człowiekowi) przetrwać poza byt jednostkowy, chęć bycia „kimś, kto wykracza poza bierną rolę tego, kto został stworzony”.

„Wiele dróg — mówi E. Fromm — prowadzi do radości tworzenia; najbardziej naturalną i najprostszą jest miłość matki do swego tworu. Wykracza ona poza samą siebie w swym stosunku do dziecka, miłość do dziecka nadaje jej życiu znaczenie i ważność. Właśnie w fakcie, że mężczyzna nie może zaspokoić swojej potrzeby transcendencji dając życie dziecku, tkwi przyczyna, że dąży on do zaspokojenia tworząc różne dzieła rąk czy też myśli”.

Ścisłsza więź pomiędzy matką a dzieckiem wpływa na to, że: „Dziecko w tych decydujących pierwszych latach swego życia doświadcza swojej matki jako źródła życia, jako siły wszechogarniającej, chroniącej je i żywiącej. Matka jest pokarmem, miłością, ciepłem, ziemią. Być kochanym przez nią to tyle, co być żywym, zakorzenionym, mieć ojczyznę i dom”.

E. Fromm uważa, że zasadnicze różnice pomiędzy miłością macierzyńską i ojcowską tkwią w tym, że pierwsza z nich jest miłością bezwarunkową, natomiast druga zależy od określonych cech zachowania się dziecka. Charakteryzując istotę miłości macierzyńskiej, E. Fromm pięknie stwierdza, że wszelkie doznania dziecka wobec matki, można wyrazić: „Jestem kochany, ponieważ jestem. Nic nie musisz zrobić, żeby być kochanym — miłość matki nie jest obwarowana żadnym warunkiem. Jedyne, co muszę zrobić, to być — być jej dzieckiem. Miłość matki jest szczęściem jest spokojem, nie trzeba jej zdobywać, nie trzeba na nią zasługiwać”.

Miłość macierzyńska, jeśli ma być pełną, zawierać musi dwa elementy: odpowiedzialność i troskę o dziecko oraz budzenie miłości życia. Zdaniem E. Fromma w historii biblijnej znaleźć można dwa bardzo przejryste symbole miłości macierzyńskiej.

Jednym z nich jest Ziemia Obiecana (E. Fromm podkreśla, że „ziemia jest zawsze symbolem matki”). Otóż Ziemia Obiecana jest symbolem pierwszego aspektu miłości, tego, którego treścią jest troska i aprobata. Miód natomiast symbolizuje drugi aspekt, czyli słodycz życia, jego ukochanie i szczęście z powodu tego, że się żyje.

Autor dalej stwierdza, że: „większość matek potrafi ofiarować wyłącznie „mleko”, bardzo niewiele potrafi dawać również „miód”. Aby dawać „miód”, matka musi być nie tylko „dobrą matką”, ale i szczęśliwym człowiekiem — a to nieczęsto się zdarza. Działo to na dziecko w sposób przemożny. Ukochanie życia przez matkę jest równie zaraźliwe jak jej niepokój. Oba te uczucia wzwierają bardzo

głęboki wpływ na całą osobowość dziecka; bez trudu można rozróżnić te wśród dzieci — a także wśród dorosłych — które otrzymały samo mleko, od tych, które otrzymały „mleko i miód”.

Miłość macierzyńska stanowiąc podstawę właściwego rozwoju dziecka, zawiera również pewne ograniczenia, a mianowicie nie jest czynnikiem pobudzającym rozwój umysłowy jednostki. Ograniczenie to wypływa z faktu wspomnianej uprzednio bezwarunkowości miłości macierzyńskiej.

„Na miłość matki — pisze E. Fromm — nie tylko nie trzeba zasługiwać — ale także nie można jej zdobyć, wywołać ani nią kierować. Jeśli istnieje, jest błogosławieństwem. Jeśli jej nie ma, wydaje się, że całe piękno uszło z życia — i nie mogą uczynić nic, aby ją zrodzić”.

Wskazane powyżej ograniczenia miłości macierzyńskiej wpływają na to, że ma ona szczególnie duże znaczenie we wczesniejszym okresie życia dziecka. Jak to bowiem podkreśla E. Fromm: „Dla większości dzieci w wieku powyżej ośmiu i pół lat problem polega na tym, aby „być kochanym”, być kochanym za to, czym się jest. Dziecko do tego wieku jeszcze nie kocha; przyjmuje tylko z radością i wdzięcznością to, że jest kochane. Na tym etapie rozwoju dziecka pojawia się nowy czynnik, nowe poczucie, że miłość można wywołać własnym działaniem. Po raz pierwszy dziecko zaczyna myśleć o tym, aby dać coś matce lub ojcu, aby coś zrobić — zadeklamować, wykonać rysunek czy cokolwiek innego. Po raz pierwszy w życiu dziecka idea miłości przeobraża się z pragnienia, aby być kochanym, w chęć kochania samego, w miłość twórczą. Wiele lat dzieli te pierwsze początki od dojrzałej miłości. W końcu dziecko,

czasem już w wieku młodzieńczym, przewycięża swój egocentryzm: drugi człowiek przestaje być już przede wszystkim środkiem do zaspokojenia własnych potrzeb. Potrzeby drugiego człowieka zaczynają być równie ważne jak jego własne — w istocie nawet ważniejsze”.

Wydatną pomocą w przewyciężaniu przez dziecko swego egocentryzmu jest miłość ojcowska, która spełnia inną funkcję niż miłość macierzyńska. Miłość ojcowska jest bowiem uzupełnieniem macierzyńskiej w zakresie pobudzania rozwoju społecznego. Ojciec będąc pozbawiony tak silnego jak matka związku biologicznego z dzieckiem nie posiada „danej z natury” umiejętności kochania dziecka tylko dlatego, że jest to jego dziecko. Miłość ojcowska musi być wywołana przez różne czynniki, które w większości są bezpośrednio związane ze sposobem zachowania się dziecka.

„Stosunek do ojca — pisze E. Fromm — jest zupełnie inny. Matka jest domem, z którego wychodzimy, jest naturą, glebą, oceanem; ojciec nie reprezentuje żadnego takiego naturalnego domu. Ale podczas, gdy ojciec nie reprezentuje naturalnego świata, reprezentuje on drugi biegun ludzkiego istnienia: świat myśli, przedmiotów, które są dziełem rąk ludzkich, świat: prawa i ładu, dyscypliny, podróży i przygody. Ojciec jest tym, który uczy dziecko, tym, który mu wskazuje drogę w świat”.

Miłość ojcowska jest miłością uwarunkowaną. Jej zasadą jest: „kocham cię, ponieważ spełniasz moje oczekiwania, ponieważ wypełniasz swój obowiązek, ponieważ jesteś taki jak ja.”

W innym miejscu autor stwierdza, że: „stosunek dziecka do ojca nie ma tak intensywnego charakteru, jak jego stosunek do matki, ponieważ ojciec nigdy nie odgrywa wszechobejmującej, wszechopiekunczej roli, jaką pełni matka przez pierwsze lata życia dziecka”.

Miłość ojcowska posiada również pewne negatywne. E. Fromm stwierdza, że: „Tym negatywnym aspektem jest fakt, że na miłość ojcowską trzeba zasłużyć, a można ją utracić, jeżeli nie spełni się oczekiwań. W naturze miłości ojcowskiej tkwi fakt, że posłuszeństwo staje się główną zaletą, a nieposłuszeństwo głównym grzechem, a karą jest odebranie ojcowskiej miłości”.

Podobnie jak ograniczenia miłości macierzyńskiej są kompensowane cechami miłości ojcowskiej, tak i negatywne cechy miłości ojcowskiej są niwelowane poprzez odczuwanie miłości matki.

„Niczym nie uwarunkowana miłość — pisze E. Fromm — odpowiada jednej z najgłębszych tęsknot nie tylko dziecka, lecz każdej ludzkiej istoty. Sytuacja, w której się jest kochanym z powodu własnych zasług dlatego, że się na miłość zasługuje, zawsze budzi wątpliwość. Nic więc dziwnego, że wszyscy tęsknimy gorąco do miłości macierzyńskiej i jako dorośli, i jako dzieci”.

Miłość macierzyńska i miłość ojcowska w rozwoju psychicznym dziecka odgrywają podobne role jak ziemia i słońce w rozwoju roślin, stąd też często bywają symbolami obu tych typów miłości. Miłość matki bowiem stanowi dla dziecka potrzebę równą tej, jaką jest potrzeba odpowiedniej gleby dla rośliny. I podobnie, jak bujność rośliny zależy od jakości gleby, tak rozwój uczuciowy dziecka uzależniony jest z jednej strony od tego, jak głęboki związek uczuciowy łączy je z matką, z drugiej zaś — od bogactwa przeżyć i odczuć psychicznych cechujących matkę.

Ojciec zaś porównywany bywa do słońca, które ogrzewając ziemię czyni ją zdolną do wydawania plodów. Same rośliny pobudza ono stale do rozwoju, właściwy zaś rozwój nagradza swymi życiodajnymi promieniami.

EWA STOMAL



Limeryki, Limeryki dziś szkolne wybryki

W szkołach Gdańska, Warszawy,
Rawy, Mławy, Szprotawy,
Szczepieszyna, Szczecina —
SZKOLNY ROK się zaczyna.
Czas więc szkolne
przypomnieć tu sprawy.

Raz do klasy w Jaworze
uczeń wszedł o złej porze:
lekcja w pełni. Klasówka!
Jakaż jego wymówka?
Złe na zegar popatrzył, nieboże...

Szybkobiegacz w Łańcucie
przed klasówką raz uciekł.
Bocznym wyjściem umyka,
a wtem staje, utyka...
Cóż to? Przecież w jednym jest bucie!

Spryciarz pewien z Elbląga,
gdzie mógł tylko, tam ściągał:
zdania pół — od jednego;
od drugiego — pół; z tego
wyszło zdanie na kształt dziwoląga.

Śpioch nad śpiochy z Grajewa
drzemał w klasie lub ziewał.
Zapytano: — Dlaczego
wciąż sypiasz, kolego? —
Na to on: — Bo ciekawe sny miewam.

H. LACHOCKA



— Umieć! Możesz mnie już przestać pilnować.

Zbieracz

Zbiera znaczki, fotosy,
muszle — większe i małe,
zbiera chętnie motyle
i nalepki zapalek...
Zbiera drobne kamyczki,
jak powiada — „na szczęście”,
ale w szkole... źle stopnie
zbiera jednak najczęściej.

(St.A.)

Papla

Wciąż powtarza jednakowo:
„Daję słowo, daję słowo”.
I dlatego, bądźmy szczerzy,
słowom jego nikt nie wierzy.

(I.Sikirycki)



Pewna teczka

Tyle jest szpargałów
w jej każdym zakątku,
że już wcale nie ma
miejsca dla porządku.

(R.Przymus)

Koledzy

Choć kolega ten z kolegą,
nie są przyrodniczą spółką,
mówią „kwiatek” na jednego,
na drugiego — „ziółko”.

(T.Gieger)



— Dobrze, pójdę do szkoły, ale cudów się po mnie nie spodziewajcie.



— Ja tu śledzę w szkole, a w domu tata pewnie bawi się moją kolejką...



— Aby do matury, Jurek, aby do matury...

Pogadanki O HISTORII KOŚCIOŁA

Zakony wyrosłe na ziemiach polskich

Rozwój i powstanie różnych gałęzi zakonnych nie ominęło również Polski. Chociaż kraj nasz, rozdarty między trzy mocarstwa, nie miał takich warunków na kultywowanie życia religijnego jak kraje wolne, to jednak życie duchowe rozwijało się tu jeszcze intensywniej, niż w samorządnych państwach. Poczucie doznanych krzywd i bezowocne, krwawo tłumione zrywy wolnościowe, znajdują ukojenie w dziedzinie ducha, w zbliżeniu się do Boga. Polacy zakładają

społeczności zakonne w kraju i na emigracji.

W roku 1836 zostało założone w Paryżu przez Bohdana Jańskiego, ks. Hieronima Kajsiewicza i ks. Piotra Semenekę Zgromadzenie Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa (Zmartwychwstańcy). Obecnie zgromadzenie posiada trzy prowincje: polską, amerykańską i kanadyjską oraz okręgi: włoski, bułgarski i austriacki.

Dzięki staraniom ks. Jerzego Matulewicza, późniejszego biskupa wileńskiego († 1927), odradza się w roku 1910, założone przez o. Stanisława Paprzyńskiego Zgromadzenie Zakonne Księży Marianów. Celem zgromadzenia jest prowadzenie zakładów wychowawczych dla młodzieży i pomoc w pracach duszpasterskich kleru świeckiego.

Bardzo pożyteczną rolę i wielką popularność w kraju zyskuje Zgromadzenie Braci Albertynów, które opiekuje się najbardziej upośledzonymi i nieuleczalnie chorymi ludźmi. Założył je utalentowany artysta — malarz, były powstaniec, Adam Chmielowski († 1916). Rozpoczął od zbierania jałmużny dla opuszczonych dzieci nędzarzy. Wnet

powstają również siostry albertynki. Zakonnicy i zakonnice prowadzą życie bardzo surowe, w duchu heroicznej miłości bliźniego. Niestety, nie ma zbyt wielu kandydatów do przywdziania szarego mniszego odzienia, jakie noszą albertyni.

Zgromadzenie Św. Michała Archanioła powołał do życia eks-salezjain ks. Bronisław Markiewicz († 1912). Michaelici szczególnie zajmują się prowadzeniem zakładów dla młodzieży opuszczonej i trudnej.

Zgromadzeń żeńskich, które przetrwały do chwili obecnej jest dużo. Najstarszym i najliczniejszym zgromadzeniem zakonnym jest Zakon Służebnic Najświętszej Maryi Panny, założony przez bogobojnego ziemianina Edmunda Bojnowskiego († 1871). Celem tego zgromadzenia zakonnego jest prowadzenie ochronek, nauka zawodu podopiecznych dziewcząt, posługa w świątyniach, dawne przykłady pracowitości i pobożności. Służebniczki mają swoje domy w Polsce, Anglii, Irlandii, Francji i we Włoszech.

Siostry felicjanki założyła Zofia Truszkowska, która też została pierwszą przełożoną zgromadzenia. Nazwę wzięły od swe-

go patrona św. Feliksa de Cantalicio.

Zygmunt Feliński — późniejszy arcybiskup warszawski — założył w 1856 r. franciszkanki Rodziny Maryi. Prowadzą one ochronki i przytułki. Podobny cel mają dominikanki III Zakonu, założone przez Kolumbę Białecką we Wielowsi pod Tarnobrzegiem.

Serafitki, czyli Córki Matki Bożej Bolesnej, założyła w 1881 r. Małgorzata Szewczykówna pod kierunkiem o. Honorata — Wacława Koźmińskiego († 1916), który organizował ukryte życie zakonne pod zaborem rosyjskim. Jawnych zgromadzeń na terenie zaboru nie wolno było zakładać. Służebnice Najświętszego Serca Jezusowego, czyli sercanki założył późniejszy biskup przemyski, ks. Józef Felczar.

Wśród emigracji polskiej w Rzymie powstały trzy zakony nauczycielskie: niepokalanki, nazaretanki i zmartwychwstanki.

Niepokalanki powstały w 1857 r. z inicjatywy o. Kajsiewicza oraz sióstr: Józefy Karskiej i Marceliny Darowskiej. Nazaretanki założyła Maria Siedliska, a zmartwychwstanki Celina Borzęcka.

Ks. ALEKSANDER BIEL

PORADY PORADY PORADY

Uroczystości nasze, naszych sąsiadów i kolegów — bez alkoholu

Tradycje pijaństwa są głęboko zakorzenione w naszym społeczeństwie. Przy czym polskie, a może nawet słowiańskie picie, w przeciwieństwie do anglosaskiego picia drinków, czy romańskiego picia niskoprocetowego wina jest pićciem wysokoprocetowych alkoholi (głównie wódki).

Każdy styka się bardzo często z różnymi uroczystościami: naszymi własnymi jak: zdanie matury, obrona dyplomu, awans w pracy, imieniny, urodziny, a także uroczystości naszych bliskich, przyjaciół, kolegów, sąsiadów, znajomych. Od dawna zwykliśmy obchodzić te uroczystości nie rezygnując z alkoholu. W pracy prym wodzi szkodliwa tradycja tzw. oblewania pierwszej wypłaty, która wypacza u młodzieży właściwy stosunek do pracy, obowiązków społecznych. Jakże burzliwe, niejednokrotnie kończące się awanturami i bójkami jest odprowadzenie do wojska czy też przechodzenie do rezerwy.

Jest takie powiedzenie, że „przyjaźń mierzy się kieliszkami wypitej wódki”. I tak w oparach alkoholu upływa młodość, przechodzi życie. Iluż podpiętych mijamy codziennie na naszych ulicach, z trudem utrzymujących się na nogach, przepychających między spieszącymi mieszkańcami wielkich miast, niekiedy próbujących zaczepić przechodniów, obrażać... Żadna najlepsza nawet ustawa nie wyeliminuje złych nawyków narosłych w społeczeństwie od stuleci.

Jednym ze sposobów zwalczania pijaństwa jest ignorowanie nadużywających alkohol, wskazywanie ich bez ogródek, uświadamianie im, iż są czarnymi owcami. Nie można zwłaszcza pobłażać tym, którzy próbują wciągnąć w swoją pijacką orbitę młodzież, organizują w zakładach pracy kliki pijackie i pod pretekstem przypadających uroczystości korzystają z okazji, aby sięgnąć po kieliszek.

Społeczeństwo zbyt wiele kosztuje takie okolicznościowe popijanie, ta przysłowiowa lampka wina, która niejednokrotnie kończy się libacjami. Ciekawe, potrzebne i pożyteczne są uroczystości, które obchodzimy, ale tylko wtedy, kiedy nie są parawanem do sięgania po kieliszek.

Po wojnie kilkakrotnie próbowano rozprawić się z nadużywającymi alkohol i za każdym razem stosowano taryfę ulgową. Zakazy sprzedaży alkoholu były łamane, za kierownicą nadal siedali kierowcy, którzy przed chwilą racyli się „małym jasnym”. I zbyt nie przejmowano się przepisami. Może wreszcie władze różnych szczebli przestaną patrzeć na działaczy antyalkoholowych i piszących o atalnych skutkach nadużywania alkoholu, jak na błędnych rycezy. Dość pobłażać dla pijaków.

Na jezdni czyha śmierć

Każdego dnia wpływają meldunki o wypadkach drogowych spowodowanych nieprzestrzeganiem przepisów. Często wypadki kończą się śmiercią, bądź ciężkimi obrażeniami ciała. Ta duża liczba wypadków skłania do refleksji, skłania do wyciągnięcia wniosków. Czas położyć kres tragediom spowodowanym przez lekkomyślność i brawurę, przez wiarę, że przecież „mnie musi się udać”.

Zdolność do prowadzenia pojazdu zależy od kondycji fizycznej i psychicznej, prawidłowo działającego wzroku i słuchu. Jednym z czynników obniżających sprawność i wydolność prowadzących pojazdy jest alkohol. Nie wolno usiąść za kierownicą po wypiciu alkoholu, nawet i wtedy, kiedy nie czujemy jego działania. Alkohol nawet w małych dawkach powoduje obniżenie sprawności, ogranicza uwagę i zakłóca prawidłowość reakcji. Doświadczenia laboratoryjne wykazały, że alkohol spożyty nawet w niewielkich ilościach narusza system nerwowy, osłabia intensywność refleksów oraz dokładność ruchów mięśniowych. A wraz ze wzrostem stężenia alkoholu, wszystkie czynności psychiczne ulegają obniżeniu.

W ruchu drogowym o bezpieczeństwie decydują ułamki sekund. O istotnym stopniu ryzyka i niebezpieczeństwa decyduje doświadczenie prowadzącego pojazd, zdolność zachowania zimnej krwi, zdolność przewidywania i reagowania, refleks — słowem dany zespół warunków fizycznych i psychicznych. Spożycie alkoholu zwiększa możliwość nieszczęśliwych wypadków. Tak więc: chcesz jechać bezpiecznie — unikaj alkoholu. Abstynencja jest pewnym sposobem na uniknięcie wypadku.





Rozmowy z Czytelnikami

Panowie Adam M. z Kielc i Władysław G. ze Sławkowic proszą o krótki zyciorys słynnego szwajcarskiego teologa rzymskokatolickiego, ks. prof. Hansa Künga i podanie przyczyn jego ukarania przez Rzym.

Drodzy przyjaciele. Sprawę tę omawiała „Rodzina” w 1980 r. (numery marcowe i kwietniowe), wówczas też tygodnik nasz przedrukował za „Osservatore Romano” (z 19.XII.1979 r.) Deklarację Kongregacji Doktryny Wiary w kwestii teologii ks. H. Künga. Chcąc jednak zadośćuczynić Waszym życzeniom oraz zainteresować innych Czytelników „Rodziny” postacią znanego teologa, podaję treść opublikowanych wówczas artykułów.

Hans Küng urodził się 19 marca 1928 roku. Święcenia kapłańskie otrzymał 10 października 1954 r. w Bazylei. Teologię i filozofię studiował kolejno w Rzymie i Paryżu. Doktorował się w oparciu o pracę na temat nauki Karola Bartha. Zyskał też doktorat „honoris causa” uniwersytetu St. Luis w USA. Początkowo pracował w duszpasterstwie na terenie Szwajcarii, a od 1960 r. osiadł w Tubingen, jako profesor teologii fundamentalnej, zaś trzy lata później otrzymał katedrę teologii dogmatycznej i ekumenicznej na tamtejszym uniwersytecie. Oprócz zajęć dydaktycznych wiele czasu poświęcał pisaniu. Wydał cały szereg rozpraw i książek z dziedziny dogmatyki. Właśnie przez zawarte w tych publikacjach poglądy naraził się swoim władzom duchowym.

Wszystko rozpoczęło się w 1967 r. napomnieniem udzielonym ks. prof. H. Küngowi przez papieską Kongregację Doktryny Wiary za pewne nowatorskie sformułowania zawarte w książce pt. „Die Kirche” (Kościół). Napomnienie miało się zakończyć „rozmową-kollokwium”. Ks. Küng był gotów przybyć do Rzymu na ową „rozmowę”, ale pod warunkiem podania przez Kongregację do publicznej wiadomości regulaminu postępowania. Kongregacja życzenia ks. Künga nie spełniła, ale pod wpływem petycji blisko 1300 teologów rzymskokatolickich, domagających się zniesienia tajnego postępowania w sprawach prawowierności, modyfikuje nieco tryb działania.

Kiedy ks. Küng w 1970 r. wydał kolejne, kontrowersyjne w oczach Watykanu dzieło pt. „Nieomylny?”, w którym snuje nic zastrzeżeń odnośnie dogmatu o nieomylności papieskiej, wznowiono przeciw ks. Küngowi zwyczajne postępowanie dogmatyczne, przewidziane przez nowy regulamin. Tym razem ks. Küng odmówił stawienia się na kollokwium, gdyż nie gwarantowano mu swobody w wyborze obrońców i możliwości wglądu w akta. Sprawa jednak ucichła, bo za profesorem wstawił się niejący już niemiecki kard. Józef Döpfner. Swoiste „zawieszenie broni” między krytycznym teologiem a Kongregacją i Konferencją Biskupów RFN trwało do 1979 r. Przerwało je wydanie przez ks. Künga dwu kolejnych dzieł: „Christ sein” (Być chrześcijaninem) i „Existiert Gott?” (Czy Bóg istnieje?), oraz napisanie słowa wstępnego do książki innego szwajcarskiego teologa Augusta Haslera, której tytuł brzmi: „Jak papież stał się nieomylny — Moc i niemoc dogmatu”. Stanowczym ostrzeżeniem dla profesora był zakaz, wydany przez kard. Ratzigera — arcybiskupa Monachium odbicia sesji naukowej dla studentów na której ks. Küng miał wygłosić referat. Kard. Ratziger tłumaczył studentom, że „ks. Küng nie reprezentuje już wiary katolickiej”. Miesiąc później, 15 grudnia 1979 r. Kongregacja Doktryny Wiary opracowała i opublikowała za zgodą papieża deklarację piętnującą ks. H. Künga i pozbawiającą go praw nauczania: „Święta Kongregacja zmuszona jest oświadczyć, że profesor Hans Küng w pismach swych odszedł od całej prawdy wiary katolickiej i z tego powodu nie może pełnić obowiązków nauczycielskich”.

Pozbawiono więc ks. Künga prawa nauczania, ale nie ekskomunikowano go i dlatego może nadal pełnić obowiązki kapłańskie. Ks. Hans Küng podkreśla, że chce pozostać katolickim teologiem, ale nie zamierza rezygnować ze swoich poglądów. Jego zdaniem Kościół Rzymskokatolicki będzie musiał skorygować naukę o nieomylności papieskiej. Rewizja uchwał Soboru Watykańskiego I jest — według ks. Künga — nieunikniona, jeśli ma

nastąpić przełamanie rozłamu w chrześcijaństwie.

Ks. prof. Hans Küng w specjalnym liście wyraził gotowość przybycia do Rzymu i rozmowy z papieżem Janem Pawłem II. Na swój list dotąd nie otrzymał odpowiedzi. Jeśli jednak Rodak na stolicy patriarszej w Rzymie

rzeczywiście pragnie ekumenii, musi wziąć pod uwagę poglądy potępionego przez siebie teologa. Osobiście mam nadzieję, że ks. Küng wcześniej czy później otrzyma w odpowiedzi na swój list zaproszenie na audiencję u Jana Pawła II.

DUSZPASTERZ

Po mózgu najważniejsza...

Będzie tu mowa o ręce ludzkiej, która — podobnie jak i mózg — stanowi ukoronowanie długotrwałego procesu ewolucji rodzaju ludzkiego. Wielki filozof grecki Arystoteles pisał: „Według Anaksagorasa posiadanie rąk było przyczyną, która sprawiła, że człowiek stał się najbardziej inteligentną istotą ze wszystkich zwierząt. Ale jest rzeczą bardziej słuszną przypuszczać, że posługiwanie się rękami jest raczej konsekwencją niż przyczyną jego wyższej inteligencji. Narząd ten, a więc ręka, jest najbardziej użyteczna ze wszystkich narzędzi, jakie dała człowiekowi natura”.

Bodźcem, który w decydujący sposób wpłynął na rozgraniczenie rozwoju rąk i nóg człowieka, zbudowanych według ogólnego schematu dla wszystkich ssaków, było przejście do naziemnego trybu życia. Chociaż w wyniku procesu ewolucji ręka człowieka straciła dużo ze swej pierwotnej zręczności, to w zamian zyskała zdolności umożliwiające jej precyzyjne ruchy i pracę bez kontroli wzroku.

Rękę można uważać za zespół narzędzi zdolnych do wykonywania najbardziej różnorodnych czynności. Niestety, ten właśnie fakt ustawicznego posługiwania się rękoma uniemożliwia ich skuteczne ochranianie. Obnażone ręce są w każdej chwili narażone na zranienie.

W wypadku zranienia ręki od sposobu i szybkości udzielenia pierwszej pomocy zależy często nie tylko szybkie gojenie się rany, ale również utrzymanie pełnej sprawności ręki. Pierwsza pomoc powinna polegać na szybkiej ochronie rany przed zakażeniem wtórnym, za pomocą założenia sterylnego opatrunku i właściwego unieruchomienia kończyny. Nie należy stosować żadnego przemywania, ani też dotykać rany palcami. Prowizoryczne opaski uciskowe zazwyczaj czynią więcej krzywdy niż pożytku. Dobrze i ściśle założony opatrunek z wyjałowionej gazy w wystarczającym stopniu powstrzyma krwawienie. Następnie trzeba unieruchomić rękę w wygodnym ułożeniu, najlepiej z lekko wyprostowanym nadgarstkiem i dłonią ułożoną w pozycji chwytu.

Najważniejszą sprawą jest natychmiastowe odesłanie zranionego do lekarza, najlepiej do chirurga, ponieważ początek leczenia ran rąk posiada największą wagę w jego końcowym wyniku.

Czas zawarty między momentem udzielenia rannemu pierwszej pomocy a przybyciem rannego do chirurga posiada wielkie znaczenie dla szybkości i przebiegu gojenia się rany oraz dla pełnego powrotu sprawności zranionej ręki

A.M.

Uzupełnienie przysłów

1. Nie ciesz się bratku z cudzego upadku.
2. Deszcz ranny, płacz panny i starej baby taniec niedługo trwają.
3. Gdy się diabeł starzeje, chce mnichem zostać.
4. Co głupiemu po rozumie, kiedy go użyć nie umie.
5. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.
6. Nie taki diabeł straszny, jak go malują.
7. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.
8. Słodko Dorotko, ale drogo niebogo.
9. Gdzie jedna kość, a dwa brytany, tam pokój nieznan.

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odradzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Bałakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wojtowicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Amaroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Ewa Stomał, Małgorzata Zientarska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312, roczna na 1982 r. — 492 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10.

Zam. 357. Z-43.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

ORDYNAT

Michorowski

Obchodzić dokola, aż do bramy na poprzecznej stronie czworoboka, nie chciał, bo było za daleko, i zresztą brama o tej porze zamknięta. Płot kończył się w rzece, wsunięty w nią głęboko, łądnie zaś stały dopiero na przystani. Bodzio nie miał ani gwizdka, ani trabki, żeby wezwać strzelca, który zawsze dyżurował w domku strażniczym w zwierzyńcu. Młodzieniec krzyknął raz i drugi, lecz jego głos wsiąknął w opary rzeczne i wydał się prawie dziecięcym.

Gniew i niecierpliwość ogarnęły Bohdana. Słyszał dochodzące go zza parkanu porykiwanie jeleni i przykre ostre krzyki losi. Porwał go gniew niesłychany. Zaczął walić pięściami i wołał, ile starczyło głosu w szczupłych piersiach.

— Hej tam! służba! nie słyszycie, że ja tu jestem?! Hej, wy tam! Ale nikt nie odpowiadał. Tylko rzeka hełkotała, bijąc o burty płotu, i jelenie porykiwały przeciągle.

Bodzio wściekał się. Chodził to w prawo, to w lewo, jak lis w studni, szukając miejsca czy szpary, by móc nogę zaczepić i wspiać się na płot. Przyszła mu myśl, aby wejść w wodę i hrnąć aż do węgla parkanu. Lecz przypomniał sobie, że brzeg jest głęboki, zwierzyńiec zaś od strony wody ma dość wysoką kratę żelazną, ostro zakończoną.

Wtedy zrozumiał, że musi iść parę wiorst aż do bramy. Nie chciał jednak ustąpić. Ten płot wydał mu się nagle nędzą jego życia; tak bardzo bał się jej w nocy — i oto stanęła przed nim, niezwykła, uraglowa. Głucha złość porwała Michorowskiego w swój wir.

Zaczął szukać w kieszeniach noża składanego. Znalazł i twarz mu się rozjaśniła. Otóż postawił na swoim, zmoże ten wstrętny płot, nie pozwoli mu się rozpanoszyć.

Wylupkiwał naczem w bierwionach, ale szło mu ciężko, drzewo twarde z trudnością poddawało się ciosom małego ostrza. Jednak drobne drzazgi padały na ziemię, dziura w płocie powiększała się.

Bohdan pracował z zapalem. Pot mu zrosił czoło i policzki, ręce mdały, ale on nie ustawał w zawziętej robocie. Oddychał ciężko ze zmęczenia, lecz bódł bierwioną ostrzem nożyka, jakby tu chodziło o śmierć lub życie. Zziębnięty, rzucił wreszcie nóż na ziemię i zaklął:

— Niech to diabli wezmą! Nie hęć więcej ciał; może kto się zjawi — pomyślał i upadł na trawę.

Ale wściekłość znowu go opanowała. Pragnienie zwalczania trudności przemogło. Zaczął na nowo dźgać nożem bierwioną. Po upływie paru godzin, gdy słońce już wznosiło się wysoko, Bohdan wyprostował plecy z tryumfalnym uśmiechem.

W płocie świeciło kilka jasnych ran, wydłubanych jedna nad drugą, niby schody. Można w nich śmiało postawić palce stóp.

Bohdan zadowolony patrzył na swe dzieło, lecz widział, że jeszcze nie skończone. Chwilę odpoczywał. Usiadł i przyglądał się rzece.

Płynęła już czysta, szafirowa, oswohodka z oparów, cała zalana przezroczystym, powietrznym przestworzem.

Obfite drzewa parku na drugim brzegu rzuciły ogromny cień na wodę. Tłukły się drobne falki, zalamywały w spiętrzone pierścienie, szklily łuską przezręczystą.

Bohdan biegł wzrokiem za białymi piórami mew, ścigał pływające kurki wodne rybitwy. W pewnym zakręcie odnogi rzecznej ujrzał wspaniałego perkoza o długiej szyi, z peruką na głowie. Wpatrzył się w niego chciwie, miłośnie, pragnąc w duszy, aby płak podpłynął bliżej. Chciał go dokładnie obejrzeć.

Senność owiała mu zmęczoną głowę, członki bezwładniały. Usuwał się wolno na murawę, mrużąc ciężkie powieki. Już miał usnąć, gdy żądza czynu cwiadnęła nim znowu. Zerwał się, przeciągnął rozkosznie, leniwie, ziewnął szeroko od ucha do ucha.

— Aaaa! do licha! Wolalbym teraz spać.

Ujrzał w mętным marzeniu swój pokój sypialny, przyćmiony, i wygodne łóżko, ale to go tylko więcej otrzeźwiło.

Skoczył do płotu, próbując nań się wspiać. Zaczepił nogą o zrąb najniższy, uniósł w górę ciężar własnego ciała, ale ręce ślizgały się po gładkim drzewie.

Spojrzał na szczyt.

Niepodobieństwo!

Po krótkim namyśle zerwał z siebie sukieny kubrak, zdjął marynarkę, kamizelkę i szelki. Kubrak nałożył na samą koszulę, marynarkę związał jednym rękawem z kamizelką. Gdy zaciągnął mocny supeł, wówczas skreślił uhranie w sznur, z szelek zrobił pętlę szeroką, zaczepił się o wydłubane zręby ręką i gwałtownie ją zarzucać pętlę na wystający zza parkanu gruby sęk drzewa. Zmęczył się bez skutku, spotał, ale nie ustawał. Klął przez zęby; oczy gorzały mu dzikością; miotał się jak szalony. Spadał na ziemię, znowu lał na płot i ogniście machał pętlą na oślep, niemal z zjadłością. Nareszcie improwizowany arkan trafnie rzucony wpadł na sęk, zahaczył się głęboko i wyrwał się z rąk Bohdana, zwisając na płocie. Chłopak krzyknął radośnie. Zeskoczył i jął rozcierać zdrętwiałe ramiona. Patrzył na sznur, kołyszący się lekko, z taką uciechą, jakby na jakiejś przepięknej i sławnej dzieło wszechświatowe. Rozpromieniony szczęściem chwycił się znowu za zrąb, podważył i złapał linę w dłonie, mocno z całej siły. Teraz już szło mu dobrze. Łapał za sznur coraz wyżej, nogi cpięrał o świeże rany parkanu i piał się zupełnie prawidłowo.

Był dumnym i pewnym siebie.

Gdy wydłubane schody skończyły się wreszcie, Bodzio stropił się na chwilę, lecz zaraz energicznym ruchem począł pełznąć w górę tylko po linie, w szac ciałem w powietrzu i bijąc butami w parkan. Wtem usłyszał trza zrobiło mu się gorąco, włosy powstały na głowie. Odruchowo spojrzął w dół i zdrętwiał. Był już bardzo wysoko: zląkł się, żeby nie upaść.

Drugi trzask, silniejszy od poprzedniego, przeszył mu ciało jak bagnetem. Rozpacz i gniew zawrzały w nim.

— Zjesz diabla! — syknął nienawistnie, patrząc złymi oczyma na łamiący się sęk. Z pasją zrobił kilka gwałtownych ruchów w górę i... ukląkł na szczycie płotu.

— Eureka! — krzyknął z miesychną hawurą

Usiadł wygodnie na szerokim palu, nogi spuścił na dół w stronę zwierzyńca i śmiejąc się wycierał pot z twarzy. Z ironiczną miną obejrzał nadłamaną sęk, i próbując jego mocy rzekł głośno:

— Musisz mi jeszcze służyć, kochaneczku.

Zwiesił sznur na drugą stronę płotu, i ucepiiony silnie zaczął spuszczać się na dół. Ale sęk ulamał się w połowie drogi. Bodzio upadł na ziemię, jak długi. Na głowę zleciała mu pętla wraz z grubym odłamek drzewa.

Młodzieniec odrzucił precz od siebie sęk razem ze sznurem i zawołał sztyderczo:

— Pękłeś! Ale za późno!

Zerwał się — i ruszył szerokimi krokami naprzód, gwizdząc kuplety z operetki.

Blisko przystani spotkał strzelca, który na jego widok oniemiał ze zdziwienia.

Bohdan spojrzął w zaspane oczy dyżurnego i rzekł ostrym tonem:

— Śpisz jak susel, dowołać się ciebie nie można! Całą zwierzyńcę wystrzelałbym, anibyś wiedział kiedy.

(24)

c d. n.

ZAGADKA

Spróbuj uzupełnić brakujące części przysłówia

1. Nie ciesz się bratku
.....
2. Deszcz ranny, płacz panny i
.....
niedługo trwają.
3. Gdy się diabeł starzeje, chce
4. Co głupiemu po rozumie
5. Jak Kuba Bogu.
6. Nie taki diabeł straszny,
7. Dopóty dzban wodę nosi.
8. Słodko Dorotko, ale
9. Gdzie jedna kość, a dwa brytany

patrz rozwiązanie s. 15.

